



ODGŁOSY

ROK XIX NR 29 (971)

15 LIPCA 1976 R.

CENA 3 ZŁ



TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

POLSKA — 76

REPORTAŻ ZAGRANICZNY

KOSMOS

ZAPISKI Z CZARNEJ ZIEMI (1)

LUCJUSZ

WŁODKOWSKI

„VIKING”

ATAKUJE

MARSA

WIESŁAW JAŻDŻYŃSKI

GEOGRAFIA SERDECZNA

Wzbogacił się ostatnio mój prywatny atlas geograficzny o nowy ląd. Prawde mówiąc — niewiele dotąd lądów w moim atlasie. Nawet Europa nie jest w komplecie, brak mi co najmniej połowy państw, pięknych i ciekawych, których nie udało mi się dotąd odkryć. Afrykę reprezentuje jedynie Egipt, obu Ameryk, Azji i Australii darmo szukać. Zaznaczyłem kółkiem samotny Leningrad i Moskwę, nie znam ich bliższych i dalszych okolic, wyrysowałem kawałki Białorusi i Litwy, Azerbejdżanu, Gruzji i okolic związanych z akcją „Cichego Dołu”. Chudziutki atlas, mało w nim lądów.

Myślę jednak, że nawet bardzo skromne lecz prywatne mapy droższe są od powszechnie obowiązujących, pokazują bowiem nie tylko morza i rzeki, góry, niziny i miasta, ale przede wszystkim osobiste przeżycia. Przypominają spotkanych ludzi i ich obyczaje, prace, nieoczekiwane przygody, niepowtarzalne zachwyty i przerażenia. Geografia serdeczna jest więc zawsze bogatsza od oficjalnej, a może i to jest ważne, że każdy z nas może sobie sporządzić swój prywatny atlas, a ten oficjalny tylko bardzo ma-

dry specjalista za pozwoleniem odpowiedniego resortu.

SZAMPAN, SŁOŃCE I CYFRY

Mój nowo odkryty ląd od wieków zamieszkują ludzie. Nazywa się KUBAN, ale można także mówić KRASNODARSKI KRAJ i wszystko będzie w porządku. Leży po północnej stronie Kaukazu, ale obejmuje zachodnią część tego masywu górskiego, sięga do dwóch mórz — Czarnego i Azowskiego.

Bardzo ciepło w maju na Kubaniu, ale szampan podają prosto z lodu. I to od razu, dosłownie w kwadrans po szczęśliwym wylądowaniu na lotnisku w Krasnodarze. Obyczaj godny naśladowania w całym świecie.

Odkrywanie nowego lądu zaczęło się z miejsca, już w miłej salce recepcyjnej dworca lotniczego. Zaraz po toaście powitalnym, który wzniosł gospodarz tej ziemi, rozpoczynają pracę tłumaczkę, przekładają ostrym szepem konwencjonalne powitanie na języki gości — czeski, serbski, niemiecki, węgierski i rumuński, reszta radzi sobie sama. Mnie się — na przykład wydaje, że rozumiem każde słowo. A goście to pisarze z krajów socjalistycznych, przyjechali wziąć czynny udział w Dniach Literatury Ra-

Dalszy ciąg na str. 5



Dalszy ciąg na str. 8



JACEK INDELAK

KRAJ ŁAKNIE STALI

Kilka kilometrów za Dąbrową Górniczą szeroka asfaltowa szosa — wiodąca na Kraków — wspina się na rozłożysty wiadukt, opleciony z obu stron wąską nitką zjazdowej serpentyny. Opada ona szybko płynnymi zakrętami, przez chwilę jednak, zanim droga się wyprostuje na dole, obserwować można przez szyby samochodu pejzaż wielkiej budowy.

Trudno wprawdzie ogarnąć wzrokiem tych dziesięć kilometrów kwadratowych, w pamięci jednak już na

Dalszy ciąg na str. 3

TELEWIZJA

FESTIWALE, WESTERNY I STATYSTYKA

Jest jakimś paradoksem naszej telewizji, że jej programy są najciekawsze akurat wówczas, kiedy mało kto ma ochotę oglądać telewizję. A właśnie teraz mamy sezon festiwalowy, o których od lat mówimy nie najchętniej, ale które wciąż budzą zainteresowanie widzów.

Telewizja uparła się emitować festiwalowe koncerty z jednolitym poziomem artystycznym i wszyscy się już do tego przyzwyczaili. Ważne jest tylko to, aby zbyt drastyczne cięcia w transmisji nie zniekształcały oryginału. Podobno tak było w wypadku Festiwalu Opolskiego — podobno tak nie było w wypadku Festiwalu w Kolobrzegu. Widocznie wojsko potrafi rozmawiać z telewizją.

Pierwszy koncert kolobrzeckiego festiwalu był przeglądem przebojów minionych dziesięciu lat, drugi prezentował tegorocznych debiutantów, dwa kolejne przedstawiały czterdziście dwie piosenki premierowe i w końcu niedzielne transmisje tradycyjnie już zaprezentowały koncert galowy. Nie zapomniano też o odbiorcach młodzieżowych, nadano dla nich w niedzielę rano „Śpiewogrę” na motywach „Czterech pancernych”. Wszystkie koncerty były ciekawe i można je było oglądać i słuchać z przyjemnością. Podobnie zresztą jak koncerty Festiwalu Piosenki Radzieckiej.

I tu kolejny paradoks. Krajowy Festiwal Piosenki w Opolu od paru lat nie przynosi większych rewelacji, natomiast coraz ciekawsze stają się te festiwale, które powstały i wyrosły niejako w cieniu Opoli i po-

czątkowo stanowiły tzw. drugi garnitur estradowy. Nieprzypadkowo więc telewizja przygotowała w tym roku z Festiwalu Kolobrzeckiego aż... siedem transmisji, co przecież nie zdarzało się od lat i nawet Sopot takiej nobilitacji nie dostąpił.

Nie wiem czy do paradoksów zaliczyć również fakt, że emitowane ostatnio dość często westerny mają bardzo pozytywną i bardzo nieraz głęboką wymowę społeczną, choć ich akcja dotyczy innego kontynentu i zupełnie innej epoki. Na przykład w westernie „Niepotrzebna” właściciel dyliżansu mówi: „Pasażer, który wykupił bilet, ma prawo sądzić, że dojedzie żywy”. Myślę, że ta dewiza z epoki przedkolejowej, kiedy nie znano wakacyjnych szczytów przejazdowych, jest aktualna i dziś. Nie wiem tylko czy PKP nie uznaje jej za przeżytek.

Na koniec parę tyków statystyki. Otóż według oceny Ośrodka Badań Opinii Publicznej i Studiów Programowych, ponad 60 procent widzów preferuje na szklanym ekranie programy filmowe, a 35 procent programy rozrywkowe. W ogóle szacuje się, że 90 proc. produkcji filmowej ogląda się u nas w telewizji, a nie w kinach. Otóż telewizyjne oglądanie stopniowo wykształca, bez tradycji uczestnictwa w kulturze, własnie dzięki inspirującej roli telewizji zaczynają częściej niż dotychczas chodzić do kina. Tak więc telewizja odbierając kinom widza, jednocześnie... kieruje widza do kina. I bądź tu mądry!

TELEMAN

SPORT

ZACZYNA SIĘ OLIMPIADA

I nagle wszystko stało się dość skomplikowane. Do tej pory zaczęli byliśmy przygotowywać olimpijski, martwiliśmy się formą pikarzy, cieszyliśmy się sukcesami lekkoatletów, byliśmy spokojni o siatkarzy, wiedząc, że pilnie i sumiennie trenują. Ekipa olimpijska wyruszyła już do Montrealu. 17 lipca 1976 roku zaplanowano znieść i wszystko się zaczęło. Przyszła chwila na refleksję i właśnie teraz można sobie uświadomić różne komplikacje.

17 lipca 1976 roku w dalekim Montrealu zaplanowano olimpijski znicz. Już ten fakt, nawiązujący do dalekiej hellenistycznej tradycji, nadaje współczesnym igrzyskom zupełnie inny wymiar. „Święty ogień” nie odbędzie podróży przez Atlantyk na statku, ani samolotem. Przestrzeń tę pokona jako promień laserowy.

W Atenach specjalne czujniki przetworzą olimpijski ogień na prąd elektryczny, który wzbudzi sygnał telefoniczny. Sygnał ten za pośrednictwem satelity pokona odległość między Atenami a Ottawą w pół sekundy. Tu wzbudzi promień laserowy, który zapali pochodnię. Sztafeta biegaczy przeniesie ją do Montrealu, aby tradycji stało się zadość.

Sport jest pięknym i atrakcyjnym widowiskiem. Będziemy tracić noc na oglądanie olimpijskich transmisji. Sześciu ci, którzy następnego dnia będą mogli odespać zarwane noce w lesie lub na plaży. Wszystkim pozostałym przyjdzie tak sobie czas układać, aby jednak wstać do pracy w miarę wypoczętym. Trudno będzie bowiem wielu kibicom zrezygnować z telewizyjnego przekazu tego wspaniałego widowiska, jakim będzie Olimpiada w Montrealu. Ale sport jest nie tylko widowiskiem.

Polityka nie omija sportu. Międzynarodowa Federacja Tenisa postanowiła na przykład odroczyć losowanie przyszłorocznych rozgrywek w Pucharze Davisa. Mogłoby się wydawać, że jest to decyzja czysto formalna, spowodowana nielotnymi przyczynami. Niestety. Jest zupełnie inaczej. Międzynarodowa Federacja Tenisa podjęła taką decyzję tylko po to, aby zyskać na czasie. A ten czas potrzebny jest jej dla rozwiązania problemu o charakterze wcale niesportowym.

Na ostatniej konferencji krajów, które biorą udział w rozgrywkach Pucharu Davisa delegat USA zapowiedział, że jego kraj wycofuje się z tych rozgrywek. Stało się to już po przegranej USA z Meksykiem, więc praktycznie wielkiego problemu by nie było, ale ostatecznie zapowiedzi zgłosili również delegaci Wielkiej Brytanii i Francji. Powód? Jest to znak protestu na skutek „diskryminacji” tenisistów Republiki Południowo-Afrykańskiej. Kraje te chciałyby stworzyć inny turniej, w którym uczestniczyliby też tenisiści z RPA.

Czy sport może pozostawać obojętny na to, co dzieje się na świecie? Przecież sport jest tylko jedną z form życia społecznego i tak trzeba go traktować. Podlega też różnym tendencjom, prawom, naciskom, wykorzystywany jest dla różnych celów. Nie we wszystkim, do czego wykorzystuje się sport można się i trzeba godzić. Trudno godzić się dziś z apartheidem, przekształcaniem stadionów w obozy koncentracyjne, zakłócaniem igrzysk olimpijskich przez terrorystów.

Sport powinien być piękną, czystą i szlachetną rywalizacją o miano najlepszego. Stanisław Dygat, wypowiadając się na łamach „Przeglądu Sportowego” na temat rozpoczynającej się Olimpiady w Montrealu, podkreślił, że w ogóle olimpiady będą miały sens tylko wtedy, jeśli będzie to rzeczywiście walka najlepszych z najlepszymi. Międzynarodowa rywalizacja sportowców trwa bowiem nieustannie. Rozgrywa się liczne turnieje, mistrzostwa kontynentów i świata. Obok amatorów stają w sportowe szranki zawodowcy. Warto byłoby i ten problem jakoś uporządkować. „Np. medale w piłce nożnej — powiada Stanisław Dygat o medalach olimpijskich — są po prostu niepoważne”. Coś w tym jest, ale niezależnie od tego „coś”, niech tam nasi piłkarze obronią to, co kiedyś zyskali.

Zaczyna się Olimpiada w Montrealu. Cieszymy się na barwne (dla tych, którzy mają kolorowe telewizory) ciekawe i atrakcyjne widowisko. Zmusi ono nas jeszcze do wielu refleksji. Oby były to miłe refleksje.

BOGDA MADEJ

W czerwcu br. odbył się w Moskwie VI Zjazd Pisarzy ZSRR. W trakcie obrad podsumowano i oceniono dotychczasowy dorobek literatury Kraju Rad oraz nakreślono kierunki dalszego jej rozwoju. W rezolucji, którą uchwalono na zakończenie Zjazdu, czytamy: „Literatura znajduje się na pierwszej linii zaciętej walki o umysły i serca ludzi na światowej arenie. We współczesnym świecie żaden pisarz nie może nie zadawać sobie pytania: czemu on służy — dobru czy złu, nowemu czy staremu, wojnie czy pokojowi?”

Poniżej publikujemy fragment wystąpienia Pierwszego Sekretarza Związku Pisarzy Radzieckich — G. M. Markowa.

W trakcie przedjazdowych rozmów i spotkań niektórzy towarzysze wysuwali projekt wymiany obecnego legitymacji Związku Pisarzy ZSRR na inną, nowego typu. I rzeczywiście, model legitymacji Związku Pisarzy ZSRR był ustalony jeszcze w roku 1934, po I Wszechrośyjskim Zjeździe Pisarzy Radzieckich i od tej pory nie uległ zmianie. W ciągu tych lat wyrosła i okrzepła pozycja organizacyjna naszego związku, jego twórczy autorytet i popularność. W czasie I Zjazdu pisarzy związek liczył 1.500 członków, obecnie jego stan wynosi około 8.000.

W owym czasie organizacje pisarzy w obwodach i krajach były wielką rzadkością, dziś prawie wszystkie obwody i kraje Rosyjskiej Federacji, Ukrainy, Białorusi, Uzbekistanu, wszystkie republiki autonomiczne mają aktywne pracujące organizacje pisarzy.

Historia Związku Pisarzy ZSRR — to historia ofiarnej walki pisarzy radzieckich o realizację polityki partii leninowskiej, o zwycięstwo jej zadań i celów. W ciągu lat pracy Związek Pisarzy ZSRR był aktywnym pomocnikiem partii komunistycznej, popierał wewnętrzną i zewnętrzną politykę radzieckiego państwa, walczył o stworzenie nowej, rewolucyjnej literatury, kształtował twórców nowego, socjalistycznego typu.

Lenin, partia komunistyczna, władza radziecka uznawały pisarzy nie tylko w zasady budownictwa nowej, rewolucyjnej kultury i literatury, lecz szczerze pomagały materialnie i organizacyjnie, dały

nam do rąk realne możliwości związku z milionowymi masami czytelników.

Zagraniczni przeciwnicy ZSRR, a wśród nich godni pogardy pojedynczy uciekinierzy, nie przestają szkalować pisarzy radzieckich i nasz związek. Tysiące razy ogłaszając upadek Związku Pisarzy, a literaturę realizmu socjalistyczne-

VI ZJAZD PISARZY ZSRR

go za zlikwidowaną, lubią zabłysnąć przed swymi czytelnikami i słuchaczami dźwięcznymi słowami: „wolność”, „druku”, „sumienia”, „niezależności” talentu — w społeczeństwie burżuazyjnym. A wszystko to zostaje puszczane w obieg w celu szkalowania radzieckiego państwa. Lecz to — puste słowa i kłamstwo. Jedyne bowiem w naszym kraju, w krajach socjalistycznych pod pojęciem wolności druku i talentu jest rzeczywistość nie pozorna baza, solidna materialna podstawa, rzeczywiste

zainteresowanie społeczeństwa, jego pomoc.

Związek Pisarzy wydaje w kraju 89 miesięczników, 16 gazet, dziesiątki almanachów. A mówiąc szczerze prenumeratę na niektóre nasze tytuły jesteśmy zmuszeni ograniczać, ze względu na trudności papierowe i poligraficzne. Nasz centralny organ „Literaturnaja gazeta” ukazuje się w ponad dwu i półmilionowym nakładzie. „Literaturnaja gazeta” stała się trybuną walki Związku Pisarzy, całej narodo-wej inteligencji naszego kraju, gazetą o szerokim, międzynarodowym znaczeniu.

Kontynuując z powodzeniem pracę nasze centralne pisarskie wydawnictwo „Pisarz Radziecki”. Co roku wydaje ono ok. 400 tytułów, w większości nowych, w ogólnym nakładzie ok. 18 mln egzemplarzy. Wśród nich 40—45% to książki pisarzy bratnich republik ZSRR przełożonych na język rosyjski.

Pięć lat wstecz w Rosyjskiej Federacji zostało powołane wydawnictwo Związku Pisarzy RSFSR i Goskomizdatu RSFSR „Sowriemiennik”. Dobre książki „Sowriemiennika” szybko zdobyły sobie uznanie i popularność wśród czytelników.

Nie możemy zapomnieć i o takim, nie mniej ważnym fakcie: pisarze kierują czasopismami, gazetami, wydawnictwami będąc członkami redakcji lub wchodząc w skład rad wydawniczych. Są wśród nich komuniści i bezpartyjni. Moralną odpowiedzialność za

Związek Pisarzy jest wielu komisarzy. Jest ich osiem tysięcy! Wszyscy my, pisarze radzieccy, zgodnie z przekonaniem, zapałem i życiem jesteśmy niepokornymi czerwonymi komisarzami, dla których nie ma nic droższego niż nagi nad leninowską prawdą, nagi wielki dzieło naszego bohaterstwa narodu i naszej partii komunistycznej!

Wróć do sprawy legitymacji Związku Pisarzy ZSRR. To prawda, nasze legitymacje muszą być wymienione. Być członkiem takiego związku jak nasz — to zaszczyt dla każdego pisarza i legitymacja, naturalnie, swoim wyglądem powinna przypominać o tym zaszczycie. Oczywiście, samo przez się rozumie, że nie można tego przeprowadzić mechanicznie: odebrać starą legitymację, a wydać nową. W tym akcie tkwi bardziej głęboki sens. Wymiana legitymacji winna przyczynić się do społecznej i twórczej aktywności każdego pisarza, a jednocześnie wymiana winna usprawnić, dźwignąć na jeszcze wyższy poziom działalność kolektywną organizacji pisarskich, umocnić stosunki pomiędzy pisarzami, wzmacnić ich świadomość uczestnictwa w pracy organizacji.

Będzie prawidłowością jeśli w przeddzień przygotowań i samej wymiany legitymacji przeprowadzimy twórcze rozmowy z pisarzami w zarządach, sekretariatach, komisjach i radach, związkach i sekcjach organizacji pisarskich, bliżej poznamy się z pracą i zamierzeniami twórczymi, niektórzy pomonemy przyjacielską radą czy różnego rodzaju środkami organizacyjnymi, np. umożliwiając kontakty z przedsiębiorstwami, budowlami i kołchozami, szkołami, szkołami zawodowymi, instytucjami, z jednostkami wojskowymi.

Ta praca winna mieć przyjacielski charakter, zawierający oczywiście i krytyczne podejście do już dokonanego oraz konstruktywne do każdego zaistniałego zagadnienia. Krótko mówiąc — żadnego szablonu, wnikać głęboko w każdy los twórcy, podchodzić do sprawy jak najbardziej indywidualnie.

Aby nie było żadnych fałszywych poglądów i by kawiarniane kumoszki nie tworzyły plotek, chcę zdecydowanie oświadczyć: to nie jest czystka! To wewnętrzna praca naszego związku obliczona na dalszą ideowo-polityczną zwartość naszych pisarskich szeregów wokół Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego obliczona na wzrost intensywności twórczej pracy pisarzy.

Opracował: E. U.

INFORMACJE

KONKURS NA FILM

Stowarzyszenie Włókienników Polskich rozpisало konkurs na film o tematyce przemysłu lekkiego, związanej z usprawnieniami organizacji produkcji i zarządzania, unowocześniania technologii, poprawy warunków pracy i jakości produkcji, wykorzystywania rezerw itd.

W konkursie mogą wziąć udział filmowcy-amatorzy oraz amatorskie zespoły filmowe. Warunkiem uczestnictwa jest nadesłanie zgłoszenia wraz z roboczymi tytułami filmów oraz nazwiskami realizatorów pod adresem SWP, Dom Technika w Łodzi, pl. Komuny Rzymskiej 5a, do 31 lipca 1976 r.

NAGRODY DLA TWÓRCÓW LUDOWYCH

Po raz piątą przyznano roczne nagrody im. Jana Pocka dla wybitnych twórców ludowych zasłużonych w rozwoju i upowszechnia-

niu ludowej literatury, plastyki i muzyki. Laureatami zostali: Bazyli Albiech — malarz ze wsi Dąbrowica Mała, woj. białostockie, Melania Burzyńska — poetka ze wsi Jaświły, woj. białostockie, Eugeniusz Caban — garmacz ze Szczekocin, woj. częstochowskie, Jan Kowalski — rzeźbiarz z Hawy, woj. olsztyńskie, Adam Pach — gawędziarz i pisarz z Zakopanego. Nagrodę zespołową przyznano kapeli „Muzyka orawska” z Zubrzycy Górnej, woj. nowosądeckie.

CHAPLIN ODZNACZONY

Charles Chaplin otrzymał tytuł honorowego członka amerykańskiej Akademii Sztuki i Literatury za zasługi dla sztuki filmowej. Uroczystość wręczenia dokumentu odbyła się w rezydencji Chaplina w Corsier-Sur-Vecvey w Szwajcarii. Jest to najwyższe odznaczenie tego typu w USA. Honorowymi członkami akademii jest 75 osób. Ch. Chaplin przebywał w Stanach Zjednoczonych do 1953 r. i pod presją zachowaw-

czych kół USA wyemigrował do Szwajcarii. Do Stanów Zjednoczonych przybył ponownie z wizytą dopiero w 1972 roku.

„CZŁOWIEK — PRACA — TWÓRCZOŚĆ

— To hasło założeń międzywydziałowego współzawodnictwa w dziedzinie pracy kulturalnej, przyjętych na Konferencji Samorządu Robotniczego w Zakładach Przemysłu Bawełnianego im. J. Marchlewskiego w Łodzi. Współzawodnictwo to obejmuje m. in. organizację spotkań popularizujących plastykę i muzykę.

W Domu Kultury Zakładów im. L. Waryńskiego odbywają się comiesięczne „Konfrontacje Widzowskie” — prezentacje amatorskiego ruchu artystycznego z dzielnicy Widzew.

DAR DLA MUZEUM W WARSZAWIE

Zbiory warszawskiego Muzeum Marii Skłodowskiej-Curie powiększyły się o książkę dr Alfreda Daniella „Podręcznik zasad fizyki”, wydaną w 1887 roku.

Została ona przetłumaczona z angielskiego na polski przez Józefa Jerzego Boguskiego (1853—1933) — kuzyna Marii Skłodowskiej-Curie, wybitnego polskiego chemika, jednego z twórców kinetyki chemicznej. W książce znajduje się dedykacja Boguskiego dla autora. W czasach akademickich Marii Skłodowskiej był to obowiązujący podręcznik dla studentów. Książka została przekazana muzeum przez Ambasadę Kanady w Polsce. Władzom kanadyjskim przekazali to dzieło zamieszkujący w tym kraju potomkowie dr A. Daniella.

ODGŁOSY

Redaguje zespół: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), RYSZARD BINKOWSKI, KONRAD FREJDLICH, WIESŁAW JAŁOZYŃSKI, BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, WŁODZIMIERZ PARYS (fotoreporter), JERZY RZYŃSKI, WŁODZIMIERZ STOKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), LUCJUSZ WŁODKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), JERZY WILMAŃSKI (sekretarz redakcji). Stałe współpracownicy: ANDRZEJ BLAJER, ANDRZEJ GRABSKI, WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI, KAZIMIERZ A. LEWKOWSKI, EWA NURCZYŃSKA, KRZYSZTOF POGORZALEC, WITOLD SŁAWSKI, TADEUSZ SZCZEPAŃSKI, JANUSZ SZYMAŃSKI-GLANC.

Dalszy ciąg ze str. 1

zawsze pozostaje ich ogólny zarys: wielkoprzemysłowa panorama, ze strzelającymi w niebo kominami i stalowymi konstrukcjami, z rozciągającymi się wzdłuż i wszerz budynkami, z mrowiem samochodów i maszyn budowlanych.

Nie dziwnego: jedna z największych budów w dziejach naszego kraju, którą przetrwał nie tylko do gigantycznych radzieckich „strojek”.

Oczywiście: HUTA „KATOWICE”. Nowy etap w dziejach naszego hutnictwa. Dzień 15 kwietnia 1972 roku, kiedy to za sprawą Uchwały VI Zjazdu PZPR o potrzebie budowy nowego dużego zakładu metalurgicznego, ruszyły na pola pod Dąbrówą Górniczą pierwsze spychacze — na trwałe zapisał się już w historii naszego kraju. Tak jak przed laty wpisano w karty historii datę 26 kwietnia 1950 roku, w którym to dniu przystąpiliśmy do budowy Huty im. Lenina w podkrajowej wsi Mogiła.

Huta „Katowice” — symbol naszych dni, symbol błyskawicznego tempa rozwoju naszego kraju. Słyszmy o niej codziennie, co dzień czytamy i oglądamy ją w telewizji. Buduje hutę czterdziestu tysięcy ludzi, wznosi hutę cały kraj, cała Polska produkuje dla niej, co dzień przychodzi z pomocą jej budowniczym.

Wyobraźnia ludzka jest ułomna. Odmieniamy nazwę huty dzień w dzień przez wszystkie przypadki, nie uświadamiłaby sobie jednak do końca tego, jaka ona w istocie będzie, a nawet — po co ją właściwie budujemy?

Abym uprzytomnić sobie ogrom tego przedsięwzięcia inwestycyjnego, trzeba się wybrać na plac budowy: obejrzeć wszystko na własne oczy. Najdokładniejsza nawet relacja nie zastąpi osobistych wrażeń, najdołniej — nawet reporter nie odda całej prawdy, chociażby dzień w dzień pisał obszernie korespondencje. To po prostu trzeba samemu zobaczyć!

O wiele prostsza jest sprawa z uświadomieniem sobie znaczenia Huty, zrozumienia palącej konieczności podjęcia tego wysiłku. Tu wystarczy tylko odrzucić, naturalnie zresztą, uprzedzenie do ekonomiki i statystyki. Wystarczy tylko wziąć do ręki rocznik statystyczny i poświęcić trochę czasu na wnikliwą jego lekturę...

Zaczniemy od początku. Rok 1965. Produkujemy niewiele ponad 9 mln ton stali. Jest to ilość zupełnie wystarczająca na potrzeby naszego przemysłu i budownictwa. Ba, uzyskujemy nawet pewną nadwyżkę, którą możemy spokojnie eksportować. Przez następnych pięć lat sytuacja nie ulega zasadniczym zmianom. Z tym tylko, że — mimo pewnego wzrostu produkcji — stopniowo maleje eksportowa nadwyżka. Przemysł zużywa coraz więcej stali, coraz też więcej potrzebuje jej budownictwo, które rozwija się i wprowadza nowoczesniejsze technologie. W roku 1970 dochodzi w rezultacie do zrównania krajowej produkcji stali z jej zużyciem, które sięga w tym roku 11,7 mln ton.

Rozpoczyna się jednak pięciolecie 1971—1975. Rozpoczyna się budowa „drugiej Polski”. Zapotrzebowanie całego kraju na stal raptownie wzrasta. Produkcja przestaje nadążać za nim. W 1975 roku nasi hutnicy produkują przeszło 15 mln ton stali. W tym samym jednak roku — na skutek przyspieszenia tempa rozwoju kraju i nasilenia modernizacji gospodarki narodowej — zużycie stali sięga już przeszło 19 mln ton.

Różnica — 4 mln ton — pokryta zostaje importem, stanowiącym — rzecz jasna — ogromne obciążenie bilansu handlu zagranicznego kraju. Wartość importu wyrobów hutniczych z krajów kapitalistycznych w roku 1975 wynosi już około trzech miliardów złotych dewizowych, a zatem — mniej więcej — tyle, ile zyskujemy z naszego eksportu węgla. Import ten jest tym dotkliwszy, że w trójnásób nieopłacalny.

Importujemy w większości wyroby hutnicze, których sami nie produkujemy nie dlatego, że nie potrafimy tego robić, lecz z powodu braku dostatecznych zdolności produkcyjnych. Co gorsza, musimy za nie słono płacić. Za tonę pospolitych wyrobów walcowanych — np. pretów, szyn czy drutów — płacimy 250—300 dolarów. Podczas gdy wyprodukowanie — powiedzmy — tony tych samych wyrobów kosztuje nas nie więcej, niż 5000—5500 złotych. Rachunek jest więc prosty: gdybyśmy nie

kupowali, lecz sprzedawali te wyroby, dostawalibyśmy dolara za każde 15—20 złotych, włożone w produkcję.

Nie bez znaczenia pozostaje również fakt, że kupować wyroby walcowane możemy tylko z krajów, które produkują ich więcej, niż zużywają, a więc z krajów wysoko rozwiniętych, do których z kolei trudno jest nam wyeksportować towary wymienne. Daje to — jak wiadomo — ujemne saldo w obrotach handlowych, powodując — co tu ukrywać — gospodarcze uzależnienie. A przy tym nawet gdyby udało nam się zdobyć rynki tych krajów dla swoich wyrobów, to lepiej przecież się nam opłaci importować, w zamian za eksportowane towary, najnowocześniejsze maszyny i urządzenia, które pchają nasz przemysł do przodu, a nie — materiały hutnicze, których produkcja nie jest dla nas żadnym sekretem.

Na tym nie koniec. Nie możemy zapominać, że rozważania nasze dotyczą stanu z minionego roku. Roku, w któ-

Rozpoczęcie bowiem przez Hutę „Katowice” normalnej pracy to nie tylko znaczący wzrost globalnej produkcji polskiego hutnictwa. To również możliwość przeprowadzenia gruntownej modernizacji starych zakładów hutniczych, które nierzadko kwalifikują się do likwidacji. Produkcja jednak musi, bo liczy się każda tona stali. To wreszcie — szansa dalszego zwiększania produkcji wyrobów hutniczych, które znów kiedyś będziemy mogli sprzedawać za ciężkie dolary. Co zaś najważniejsze — będziemy mogli, jeszcze wcześniej, odciążyć nasze zobowiązania płatnicze, tak przecież obciążające bilans naszego handlu zagranicznego. Słowem, ciężko wypracowane dewizy obrócić będziemy mogli na inne, bardziej opłacalne i odczuwalne przez wszystkich cele.

dajmy jeszcze, że Huta im. Lenina produkuje obecnie 6,7 mln ton stali rocznie, a pozostałe polskie huty od 200 do 900 tys. ton. Będzie to zatem największy w Polsce i jeden z największych w świecie zakładów metalurgicznych. Największy i najnowocześniejszy, a przy tym najekonomiczniejszy.

Przyjrzyjmy się tylko jednemu wskaźnikowi — efektywności wykorzystania terenu. Wskaźnik ten wyraża się stosunkiem zajętej pod produkcję powierzchni do rocznej produkcji stali (m kw./t/r). W przypadku Huty „Katowice” wyraża się on następująco: w I etapie — 1,6 m kw./t/r. Porównajmy naszą Hutę z kilkoma najnowocześniejszymi na świecie. Analogiczny wskaźnik dla huty w Koszycach (CSRS) wynosi 3,5 m kw./t/r.; w Bremie (RFN) — 5 m kw./t/r.; w Dunkierze (Francja) — 4,7 m kw./t/r.; w Tarencie (Włochy) — 2,6 m kw./t/r.; wreszcie w Fukujamie (Japonia) — 1,3 m kw./t/r.

A dodać tu trzeba, że wszystkie z wymienionych hut — z wyjątkiem Koszyc — są zakładami nadmorskimi, wskaźnik ich nie jest więc obciążony sporą przeciwko powierzchni, jaką zająć musi wewnętrzny system transportu kolejowego z rozbudowaną siecią torowisk i stacji rozładunkowych. W samej zaś Hucie „Katowice” stworzono już system kolejowy, obejmujący... 170 kilometrów torów.

O nowoczesności i rozmachu Huty „Katowice” świadczyć może chociażby garść faktów technicznych.

Aglomerowania — czyli wydzielą przygotowania rud i koksu — dysponuje wyrotnicą wagonową, przystosowaną do szybkiego automatycznego rozładunku materiałów sypkich. Jej nowoczesność najlepiej obrazuje fakt, że w ciągu godziny będzie mogła ona opróżnić ponad sto wagonów.

Dwa wielkie piece będą miały średnicę (13 m) mniejszą tylko o kilkadziesiąt centymetrów od średnicy słynnych mamucich pieców — np. japońskiej Fukuyamy i zachodniemieckiego Thyssen. Objętość każdego z nich (3 200 m sześć.) będzie większa o tysiąc metrów od objętości wielkiego pieca w Hucie im. Lenina. Wysokość zaś wraz z obudową (98 m) równa rozmiarom warszawskiemu hotelowi „Forum”.

Stalownia — nowocześniejsza nawet od stalowni nowokuznieckiej — dysponować ma trzema konwertorami tlenowymi o pojemności 350 ton każdy, należącymi więc do największych w świecie. Tak jak do największych na świecie budynków należy 100-metrowy gmach stalowni.

Tu właśnie po raz pierwszy na świecie zastosowana zostanie metoda przygotowywania zestawów odlewniczych w systemie potokowym, co da — nie wnikając w szczegóły techniczne — 50-krotnie większą wydajność w porównaniu z powszechnie stosowanym systemem martenowskim.

W trzech uruchamianych w pierwszym etapie walcowniach (duża, średnia i półwyrobów) niemal całkowicie wyeliminowana zostanie praca rąk ludzkich, które zastąpione zostaną przez automaty sterowane komputerami. Walcownie ruszą już w październiku. W lipcu na teren budowy wjechały pierwsze pociągi z rudą żelazną. Walka z czasem trwa. Dziś liczy się tu już nie dni, lecz godziny. Trwa batalia nie mająca odpowiednika na świecie: tak ogromnej i nowoczesnej huty jeszcze nigdy i nigdzie nie wznoszono w tak zawrotnym tempie.

Zagraniczni goście, odwiedzający Hute, nie mogą się otrząsnąć z osłupienia, w jakie wpadają na widok rozmachu i tempa budowy. Na to zdziwienie zareagowali żartem budowniczości stalowni, wywieszając wraz z tradycyjną wieżą transparent z napisem: „Polak to potrafi”. Rzeczywiście, potrafi, gdy wie, że harmonogram jego działania wytycza szczególny zegar: palące potrzeby kraju. Kraju, który — jak nigdy dotąd — laknie polskiej stali...

JACEK INDELA

NIE TYLKO HISTORIA

WOKÓŁ MICKIEWICZA

Zagadnienie stosunków Adama Mickiewicza z jego kolegami, współprofesorami z Collège de France, wielkim historykiem francuskim Jules Micheletem oraz filozofem i historykiem Edgarem Quinetem, od dawna interesowało badaczy i miłośników literatury, jak również historyków myśli społecznej i politycznej. W literaturze polskiej do niedawna na różne sposoby rozwijano tezę, sformułowaną jeszcze przez syna naszego wielkiego poety, sprowadzającą wzajemne stosunki trzech przyjaciół do... poddania się obu francuskim intelektualistom fascynacji ideą głoszoną przez wieszcz Adama. Mimo, że jeszcze Stanisław Brzozowski wzywał do głębszego, porównawczego spojrzenia na stosunki Mickiewicza, Micheleta i Quineta, apelował, by zadano sobie trud „porównania ducha, ożywiającego wykłady Mickiewiczowskie i te, jakie równocześnie wygłaszał Michelet i Mickiewicz”, nasza mickiewiczologia raczej rozwijała, niż rewidowała interpretację, zaproponowaną przez Władysława Mickiewicza. Nie wyzwoili się z jej oddziaływania również wybitny badacz stosunków polskiego poety z francuskimi kolegami, jakim był Zygmunt L. Zaleski, uczony, który ogłosił sporo nowego materiału, odkrył i opublikował nieznaną dotąd korespondencję Adama Mickiewicza z Micheletem i Quinetem.

Bodziec do rewizji dawniejszych sądów dał właściwie dopiero rozwój badań nad życiem i działalnością J. Micheleta, jaki zaznaczył się z wielką wyrazistością we Francji po II wojnie światowej. Nie tylko wznawiono dawno nie przedrukowywane dzieła wielkiego historyka, znane już tylko specjalistom, ale przystąpiono do opracowywania i publikowania ogromnej spuścizny rekonstrukcyjnej, z której największe znaczenie zdaje się posiadać „Dziennik” uczynego, prowadzony przez wiele lat życia, w którym Michelet zapisywał swoje obserwacje i myśli na najróżniejsze tematy, w tym również o Mickiewiczu i innych Polakach. W 1968 r. w wydawnictwach uniwersyteckich w Clermont — Ferrand ukazała się wreszcie krytyczna, opracowana przez Michela Cadot edycja słynnych Micheletowskich „Demokratycznych legend północy”, wraz z ogromnym, w znacznej mierze poświęconym sprawom polskim komentarzem, w którym wykorzystano ogromny zasób nie znanych źródeł rekonstrukcyjnych.

Nowe odkrycia źródłowe służą inspiracją również badaczom polskim. Nie będę tu przypominał wcześniejszych publikacji: zatrzymam się tylko nad dwoma książkami, opublikowanymi niedawno w naszym kraju. Pierwsza z nich, to niewielkie, ale wielce wartościowe dziełko działającego w Stanach Zjednoczonych historyka literatury i kultury polskiej Wiktora Weintrauba „Profesja i profesura, Mickiewicz, Michelet i Quinet”, ogłoszone przez Państwowy Instytut Wydawniczy (1975). Druga, to nieco obszerniejsza rozprawa Marii Wodzyńskiej, opatrzone tytułem: „Adam Mickiewicz i romantyczna filozofia historii w Collège de France”, opublikowana przez Państwowe Wydawnictwo Naukowe (1976), znana już przedtem z fragmentów publikowanych w latach 1972—1974 w różnych czasopiśmie.

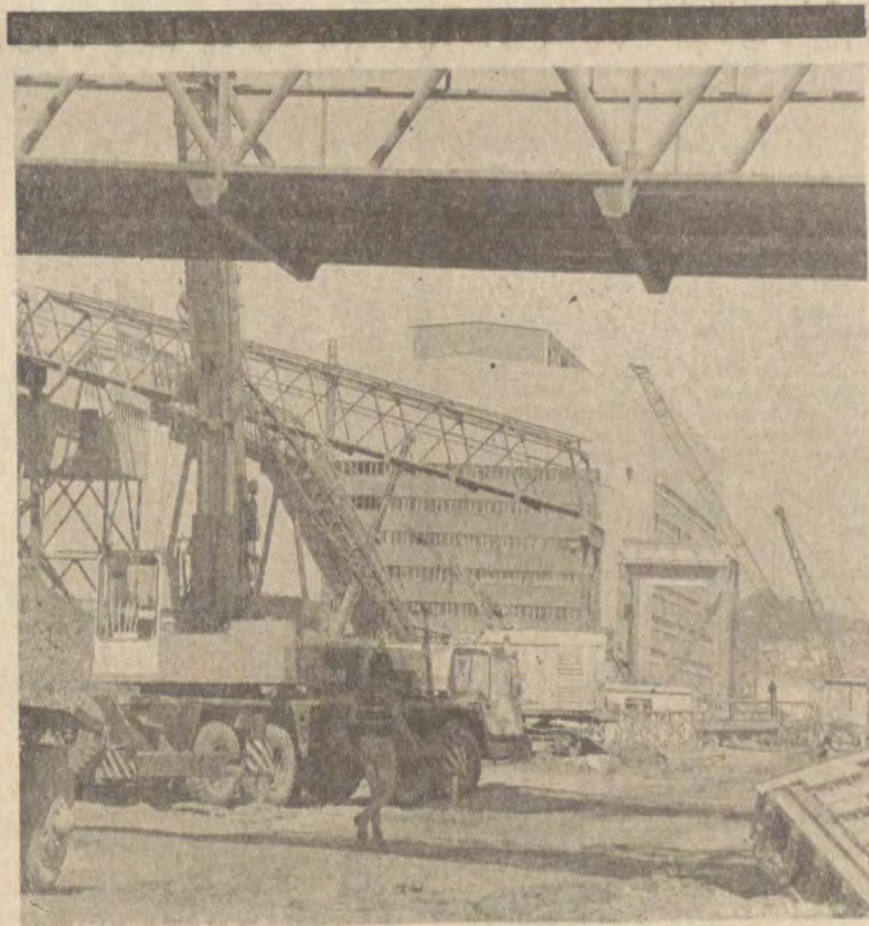
Dla W. Weintrauba najważniejszym zagadnieniem jest mimo wszystko sprawa wpływu A. Mickiewicza na francuskich myślicieli, ale uczony ujmując ją w nowych kategoriach. Zwraca on uwagę na profetyczny charakter wykładów polskiego poety w Collège de France i stara się zbadać oddziaływanie tego właśnie stylu prowadzenia wykładów na prelekcje Micheleta i Quineta; dopiero na drugim, jak gdyby planie, znajduje się studium różnic, dzielących trojkę przyjaciół. Uczony śledzi dzieje „zasadniczego konfliktu ideowego”, konfrontując je z osobistymi stosunkami polskiego poety i francuskiego historyka, wydobytą z twórczości J. Micheleta wszelkie, najdrobniejsze — nawet ślady, dotyczące Mickiewicza. Króćce zatrzymuje się nad przejęciowym „flirtem” Quineta z towarzyszeniem; tu różnice zaznaczyły się bodaj silniej i szybciej. „Wykłady obu Francuzów — pisze na zakończenie swej książki W. Weintraub — miały inną od Mickiewiczowskiej treść ideową, ale Mickiewiczowski natchnienie zawdzięczał swojemu specyficznemu charakterowi”. „O tym, co Mickiewicz znał, czytał, mówił, mówił jego Dziennik, słysząc go, mówił jego Dziennik, Student i w znacznej mierze z Mickiewiczowskich natchnień zrodzony Kościuszko. Poezja Mickiewicza nie istniała dla Micheleta. Poglądy polskiego poety w niejednym ramy jego przekonania. Tym piękniejsze to świadectwo jego wielkoduszności i duszonośności. Że nie potknął się na przeciwnościach ideowych, poznał się na wielkości Mickiewicza i złożył jej tak gorący w swej żarliwości hołd”. Tyle W. Weintraub.

Książce M. Wodzyńskiej wypadnie nam poświęcić inny felieton. Na tym miejscu wyrażmy tylko przekonanie, że jest to rzecz zastępująca na szczególną uwagę, stanowiąca — w naszym przekonaniu — ważny krok we współczesnych badaniach nad polską romantyczną myślą filozoficzną i społeczną.

Na zakończenie jeszcze jedna uwaga. Kiedy przed półtora rokiem czytałem jakieś teksty E. Quinet w paryskiej Bibliothèque Nationale, przyszło mi do głowy zaglądnąć także do rękopisów francuskiego myśliciela. Przy tej okazji dostałem do ręki jego obfita korespondencję. Miałem więc w ręku również i listy A. Mickiewicza, krótkie i niecyfrowe, wszystkie — znane zresztą od dawna. Ale w korespondencji tej znajdują się także cztery ciekawe listy syna poety, Władysława, pochodzące z lat 1866—1872, z pewnością zasługujące na uwagę tych, którzy zajmują się stosunkami Adama Mickiewicza z E. Quinetem.

LEKTOR

KRAJ ŁAKNIE STALI



rym deficyt materiałów hutniczych przybrał rozmiary niepokojące. A przecież deficyt ten, w miarę dalszego przyspieszania tempa rozwoju kraju, pogłębiać się musi z roku na rok. A raczej: pogłębiać się by musiał, gdyby nie dalekowszroczna polityka naszych władz, które jeszcze w momencie, gdy nie było powodów do alarmu, powzięły tak istotną dla naszej gospodarki decyzję. Decyzję o budowie Huty „Katowice”.

Huta, która jest wielką szansą dla naszej gospodarki. Ogromne to przedsięwzięcie inwestycyjne (w pierwszym etapie — 58 mld zł) jest wprawdzie kosztowne, ale poniesione nakłady zwrócić się nam sownie. Zapotrzebowanie na materiały hutnicze — jak twierdzą ekonomiści — osiągnie w roku 1980 wielkość rzędu 22 mln ton. Dzięki podjęciu produkcji przez Hute „Katowice”, krajowy przemysł hutniczy dać powinien w tym samym roku co najmniej owe 22 mln ton stali. Gra więc idzie o dużą stawkę.

Odwracając sytuację, zauważyć można, że w 1980 roku — gdyby nie budowa Huty „Katowice” — deficyt stali w naszym kraju zmusiłby nas do przeznaczenia na jej import co najmniej 10 miliardów złotych dewizowych. Albo też — co gorsze — zmusiłby nas do zahamowania rozwoju całego naszego kraju. Zmusiłby zresztą nas już znacznie wcześniej do porzucenia marzeń o budowie „drugiej Polski”...

Pierwsza surówka popłynąć ma w Hucie „Katowice” jeszcze w tym roku. W pierwszym etapie produkować ona będzie 4,5 mln ton stali rocznie. Docelowo zaś produkować ma 9 mln ton stali, czyli więcej niż wynosi obecnie całoroczna produkcja stali... Szwecji, Norwegii, Finlandii i Danii razem wziętych. Dla porównania do-

LITERATURA

MARIAN MISZALSKI

MINIATURY ABSURDALNE

JEREMIASZ B.

Pewnego ciepłego, wiosennego ranka Jeremiasz B. otrzymał wezwanie do odbycia służby wojskowej. Zasmucił się szczerze — był bowiem zdecydowanym pacyfistą. Gdyby stało się to w epoce napoleońskiej, wystarczyłoby wybić sobie zęby lub uciąć palec. Technika wojenna poczyniła jednak znaczne postępy, i żeby żołnierza nie miała dziś istotnego wpływu na jego wartość bojową. Toteż, chcąc pozostać wiernym swej idei, Jeremiasz B. uciął sobie jedną nogę. Natychmiast jednak wstawiono mu protezę, w której ukryty był najnowszy typ karabinu maszynowego i wyrzutnik granatów. Szlachetny Jeremiasz uciął sobie zaraz drugą nogę, ale i tę zastąpiono protezą, zawierającą wykrywacz min, licznik Geigera-Millera oraz niewielki moździerz średniego zasięgu. Teraz pozostały Jeremiaszowi ręce, których pozbył się ciachaczem podczas przepustki. W pułkowej protezowni wnet wprowadzono nowe: zamiast lewej miał teraz działko przeciwpancerne, zamiast prawej — młotek piromienny. Dzięki staraniom pułkowych mechaników Jeremiasz funkcjonował znakomicie — zawsze dobrze naoliwiony i zakonserwowany — i tylko lekko rdzewiały mu skronie. Pozostawała, oczywiście głowa i, oddajmy sprawiedliwość Jeremiaszowi, równie nie zastanawiał się długo. Zrobił to kiedyś po capstrzyku.

Głowe Jeremiasza zamocowano w nowoczesnym czołgu XZ-453 jako przyrząd nawigacyjny, na jej miejsce przyprawiono mu natomiast duży propeller, dzięki czemu znacznie zwiększył swój zasięg rażenia, mogąc teraz także działać z powietrza. Jako że pozostała jednak ręka, bił się nadal gorącym pacyfistycznym rytmem, podczas ćwiczeń na strzelniczy, niby przez nowicjusz, nieostrożność, ot, zwykła nieuwaga, Jeremiasz przestąpił je ze swej mitrąży, umocowanej w prawej nodze. Po krótkim namyśle szef zbrojeni zdecydował, by zamiast serca wstawić Jeremiaszowi zdalnie kierowany zapalnik zegarowy, a kadłub i kizki Jeremiasza służyły natomiast jako tarcza strzelnicza podczas ćwiczeń. Ponieważ było to wielkie serce, pluton Jeremiasza znacznie polepszył wyniki w strzelaniu.

Tak mijają lata. Ostatnio dowiedziałem się, że stara wersja Jeremiasza wycofana została już z uzbrojenia. Zastąpiono ją nowszym typem — Jeremiaszem B-1. W tej wersji może także puszczać V-gazy.

SZCZEROŚĆ MURZYNA

Kiedy się uciżyło, Przewodniczący Trybunału zapytał:

— Co oskarżony chce powiedzieć sądowi w ostatnim słowie?

Czarny milczał chwilę, po czym odpowiedział:

— Prawde.

Obecni na sali w napłeciu wpatrywali się w Murzynę, który przemówił głosem twardym i doniosłym:

— Ja mieć przyjaciel. Bogaty przyjaciel. Bardzo bogaty przyjaciel. On mieć, co chce. Jego żona piękna kobieta, tak cudna kobieta. On być szczęśliwy, mój przyjaciel, zadowolony. Murzyn dać w zadowolona gęba Raz dać, dwa dać, wiele dać. Mój przyjaciel, on głośno krzyknąć, wołać. Potem leżeć cicho. Wreszcie skonać.

Wśród potężnej wrzawy skazano Murzynę na śmierć. Przewodniczący Trybunału uduśił go zaraz własnymi rękami.

kami, zanim zdążył odwołać się do wyższej instancji.

ZAWODY

Zastaliśmy Złot siedzące w fotelu, rozparcie beczelnie i wyzywająco. Jego tułowie i obfite cielsko przelewało się przez oparcie i poręcz, na bladej, nalanej twarzy igrał niedobry uśmiech. Masa obia, galaretowata — widok odrażający i wstrętny; dopiero potem — groźny.

Rzuciliśmy się nań we czwórce. Ksiądz skoczył Złot na kolana i przyduśił w fotelu. Młodzieniec przypadł do nóg — krótkich i mocnych, jak u byka — a Jeremiasz, Jeremiasz B. woli paznokcie tam, gdzie powinny znajdować się skronie.

Ja — bez krzyku opamiętania — krążyłem jak oszalały wokół fotela, wzmachując rękami i drząc weuforii, aż znalazłem lukę i sięgnąłem do gardła.

Ksiądz pograżył się w brzuchu Złot, zapadł głęboko, i z mojej pozycji widziałem tylko jego śmiejące się fikiące nozki, obute w czarne, lśniące lakierki.

Uczepiony u kostek Złot Młodzieniec zapierał się co sił, dotykając niemal czołem potężnych łydek Złot — zdawałoby się korzeni wiekowego dębu. Ręce Jeremiasza przesunęły się teraz na bryle ogromnego łba — wpół się dłońmi w wargi i ucho Złot (tak było wygodnie ciągnąć) i wykonywał gwałtowne rzuty ciałem; daremnie.

Ja, usiłując pochwycić Złot za gardło, trzymałem się bez powodzenia; zwały tuszczu i skóry wymykały mi się z rąk, i na próżno usiłowałem zewrzeć uścisk.

W miarę upływu lat racjonalizowaliśmy nasze metody i nie szarpaliśmy się już tak bezładnie. Ksiądz przysiadł Złot do fotela długim bagażem, Młodzieniec udatło się obwiązać nogi Złot grubą liną. Jeremiasz szarpał grube cielsko obcęgami i ja nauczyłem się szybko i sprawnie odnajdywać krtani. Przyodziliśmy także Złot w jedwabne pończochy, czarny surdut, woalke i cyklistówkę — po prostu nie mogliśmy znieść widoku jego wstrętnej postury i powierzchnowości. Udatło się nam także naciągnąć mu na prawa dłoń skórzaną rekawiczkę. Poza tym pracowaliśmy solidnie, z ufnością, wiarą i samozaparciem chętnie stosując najnowsze zdobycze techniki. Ksiądz umarł pierwszy, ale zachował się go w pamięci: nie poskarżył się ani razu, szachując Złot bosakiem w nader niewygodnej pozycji. Młodzieniec nabawił się runtury i skierowano go do sanatorium; tylko Jeremiasz oradował na starym stanowisku, ja bowiem przeszedłem do pracy w proba-gandzie. Siedzę no tużeczka za plecami Jeremiasza i opisuję w Księdze tego zmagania. Myślę, że wynik tego meczu będzie remisowy, ale w moim Księdze napiszę, że spodziewam się zwycięstwa.

SZLACHETNI LUDZIE W KAMIENIOLOMACH

Od świtu rabałem twardą skałę. Te poranki były najgorsze: perspektywa długiego dnia, sam na sam w walce z twardą skałą przynębiała i była intelektualna tortura, nie mówiąc już o wysiłku. Potem przychodziło zapomnienie — oskarżenie obojętne odbijało od szarego głazu, stawała się zawzięta, wsieklność narastała, osiągała swój punkt szczytowy, gdy słońce stało w zenicie. Oczywiście, praca uszlachetniała nas wszystkich. Wszyscy, którzy pra-

cowali tu dostatecznie długo stawali się piekielnie szlachetni, szlachetność ta narastała w nas za każdym uderzeniem w skałę, z każdą kroplą potu i grudek śliny, zmieszanej z pyłem, odpluwana pod stopy.

Po pracy rozwozili nas do baraków ciężarówkami i od razu waliłmi się na twarde wyra. Wieczorami podnosiliśmy się z wyr — czasem zabierali nas do miasteczka. Najczęściej jednak zastanawialiśmy się, kto też może być bardziej szlachetny od nas. Ja powiedziałem, że najbardziej szlachetny musi być taki facet, co tyra cały dzień za frajer. Maniek mówił, że słyszał o gościu, który musiał wciągnąć wielki kamień pod górę, a jak już był blisko szczytu, to apłach spychali mu go w dół. Nazywał się podobno Syzyf i zgodził się na to, że był o wiele szlachetniejszy od nas. Nam przynajmniej nikt nie przypiekał w nocy tego, co odrabialiśmy za dnia, a nawet gdyby przypiekał, to i tak wystarczyłoby stuknąć kilofem, i by odleciało, znaczy się — kurbys na nowe konto. Wiele zaradziłem jak cholera temu Syzyfowi, że ten kamień mu ciągle spychali, bo każdy z nas mógłby być tak samo szlachetny, gdyby tylko miał odpowiednie warunki. Często pytaliśmy Przewodnika, czy dużo wyszlachetniliśmy w ciągu ostatniego dnia, a on uśmiechał się, kiwał głową i mówił: „Sporo, sporo, chłopcy”.

I rano — chociaż jak już zaznaczyłem, ta perspektywa dni wśród skał przynębiała — rano znów jechaliśmy do kamiennolomów, bo dobrze to sobie pomysłaliśmy, że majster zawsze tam co nieco przysadza, i aż tak dużo to wcale nie wyszlachetniliśmy. No i ten Syzyf też nie dawał nam spokoju.

WOLNOŚĆ

— No, wreszcie jest pan wolny — powiedział strażnik, wyprowadzając mnie z celi i uśmiechając się życzliwie. Podniosłem głowę i rozjrzałem się wokół: szubienica była niewysoka, solidna, pełna lekko kołysała się na wietrze. Kata nie spostrzegłem, ale oto nadchodził ksiądz z ostatnią pociechą.

— Jak to będzie z mną na tym-tym świecie, ojciec? — zapytałem.

— Czyś ty zwirował, synu — odparł — nie ma już tamtego świata. — Pracując bowiem tu ciągle, kapelan od dawna utracił już już wiarę.

Szybko wsunąłem głowę w pętlę. — A kuku — rzekłem — zagramy w entleczek-petleczek?... W odpowiedzi pokazał mi język.

BRAT MÓJ I JA (REFERAT)

Brat mój i ja byliśmy sobie niezbędni w stopniu najwyższym. Brat mój i ja byliśmy bliźniakami syjamskimi, on faszysta, ja anarchista. Pogarda, nienawisć narastała z biegiem lat, ale zrobieńci plecami nigdy nie mogliśmy stanąć twarzą w twarz.

Rozłączyli nas pod narkozą, a kiedy obudziliśmy się, brata już przy mnie nie było.

Spotkaliśmy się dopiero po latach. Brat mój i ja zmieniliśmy poglądy. Brat mój był konserwatywnym liberałem, ja — liberalnym konserwatystą. Znowu żyliśmy razem, wiodąc szczęśliwe i dostatnie życie w cichym domku nad jeziorem. Brat mój hodował róże, a ja kolekcjonowałem stara broń. Zgadzałem się teraz we wszystkim — „wszystko” było zresztą jasne i proste. Wiele pewnego wieczoru, gdy brat przesiadł powiedzieć mi „dobranoc” pchnąłem go ogrodniczym nożem między zębra. Mój śmiertelnie uszkodzony brat uśmiechnął się z pewnym przynusem: był to także uśmiech zaskoczenia, ale sam krył w sobie i zagadkę. Zresztą zaraz się wyjaśniło: powoli, z dużym trudem wyciągnął zza pachy stary napoleoński pistolet (mój najnowszy nabytek) i strzelił mi prosto w pierś. Umieramy powoli, mimo wysiłków lekarzy jest z nami coraz gorzej... Brat mój i ja chcieliśmy podziękować Towarzystwu Ortopedów za umożliwienie nam wygłoszenia tu tego referatu...

GRZEGORZ KOŚCIŃSKI

MINIATURY POETYCKIE

RÓWNAJ KROK

A kiedy już uwierzyliśmy, że idziemy nieuchronnie w tym samym kierunku, że każdy nasz krok jest tak wspólny, iż nawet w przestrzeni w uszach innych i w ich oczach odbija się podwojonym echem — musieliśmy się rozjeżdżać. To było nie do zniesienia. Nosiliśmy ze sobą bowiem nie tylko cień — jedynie wierny — ale jedynie wiernie lustro Żywe. To już nie było nasze wyobrażenie. To — rzeczywistość. Kiedy jedna ręka wyciągała się wraz z cieniem po zgaszenie lampy, po papierosa — z drugiej strony ręka inna, a bliźniacza, cudza, a ta sama, wykonywała identyczny gest. Nawet słowa, urwane na jednej sylabie, nie nie znaczącej, dopełniały się jednakowo. Nawet myśli, zbyt abstrakcyjne, by się urzeczywistniały, stawały się jednoznaczne. Zatrącałmy poczucie początku i przeznaczenia. Zatrącałmy poczucie milczenia i upadku. Kim jesteśmy? — pytaliśmy siebie nawzajem i nie znajdowaliśmy odpowiedzi, która mogłaby dać nam wiarę... Tak rozdaliśmy się na nowo — inni już i nie widzący siebie. Dla tych, co nas otaczali wszystko było jeszcze bez zmian. Nasze reakcje, które potrafili przewidzieć, nasze czyny, których się mogli domyślać, i nasze głosy, które mogli słyszeć. Jeszcze możemy ich zobaczyć, jak stoja, smutnie kiwają głowami, nie rozumiejący nic i rozumiejący wszystko. Jeszcze...

Świadkowie narodzin obości — mimowiedni przechodnie — kto zapala lampę, by znowu plomić, i by ręka rzuciła ten podwojony cień?

DO POETY

Poszukujesz nieustannie cech własnych w człowieku, który stoi naprzeciw Ciebie. Przypominasz swoje wnętrza do jego wnętrza. Każda cecha, każde podejrzenie wydają Ci się własnością wspólną. Jedyna rola, którą przypisujesz sobie, jest uświadomienie temu obok tożsamości, którą zaledwie przeżywasz. Tożsamości, której nie ma prawdopodobieństwo. Skoro ma takie ciało jak ja, takie oczy, ręce, nogi, uszy, usta jak ja, skoro spełnia co dzień te same funkcje co ja, musi myśleć podobnie jak ja, musi przeżywać podobnie jak ja — piszesz to automatycznie, każdym swoim nerwem.

Nie zastanawiasz się, że ta wspólnota staje się podejrzaną, zanim jeszcze zaistnieje myśl o niej. To nie fakt, że Jego prawdy nie są Twoimi prawdami, że Jego słowa nie są Twoimi słowami. Nawet nie różnica ograniczeń. To ta świadomość poza Tobą i w Tobie, której On jest pozbawiony — nie pozwala Ci zrozumieć jedności Twojej z każdym przedmiotem i zwierzęciem, pojęciem i zjawiskiem i różnicy z każdym człowiekiem. Uświadom sobie — sam jesteś jedynym uczestnikiem swoich obsesji. Wiesz, że i z każdego punktu przyglądasz się sam sobie. Nikogo nie ocalasz i nikogo nie rozumiesz. I nikt nie rozumie Ciebie. Twoje zapytanie — jedyna rzecz, która ma jakiegokolwiek znaczenie — nie istnieje nawet w podświadomości innych. Twoje bezmierzne są zaledwie ich nie istniejącym obszarem. Dlatego wybierasz Siebie spośród ludzi, by stworzyć wiarę — słowo, które jedynie Ty rozumiesz, i nadzieję, która tylko Ty przeżywasz.

Lecz człowiek ocalony stoi obok Was obydwu i nie istnieje.

Dlatego tak łatwo możesz go zobaczyć.

WYBÓR NAJGORSZY

I

Ide, jak ktoś skazany na ściecie, gdzie każdy krok znaczący przybliżenie się do przeznaczeń obcych i wrogich. Rozwijające się z tej samotności skrzydła nie są nawet zapowiedzią lotu.

Albo jeszcze cieszę się z drobnych przedmiotów codziennych, o które zawadza błądzące światło wzroku. Rodzące się we mnie patrzenie ucieka na oślep przed przyszywającym promieniem blasku.

Ta ucieczka rodzi we mnie bunt i tysiące małych istnień, z których żadne nie jest moim istnieniem i ucieczką. Zazdroszczę szczęśliwym władcom świata, odpowiadającym za wszystko, tylko nie za własny los.

II

Ide, chociaż wiem, że nigdy nie opuszczę tej celi, w której każda gwiazda jest szpiegiem i oskarżycielem. W tej celi bez ścian będę umierał razem z wyrokami, który sam napisałem na siebie.

Nikomu nie zazdroszczę jednak swobody, którą odebrałem sobie. Bowiem gdy nie pozostanie po mnie nawet proch, słyhać jeszcze będzie ten kamienny krok.

• • •

Oto idzie — wynurzył się, czy stworzony przez nas — stwór ogromny i bez wyrazu leniwy i obojętny, beznamiętnie niszcząc wszystko, co napotyka. Jego trop znaczą olbrzymie koleiny, i miasta całe po jego przejściu wyglądają jak śnieg ubity. Jego szlak nie da się określić żadnym, specyficznym nawet wykresem. Jego przetrwała niedoskonałość udaremnia wszelkie próby pozbycia się nie tylko jego, ale i myśli o nim.

Powoli niesystematycznie, ruchem którego nie potrafi przewidzieć żadna logika, bezwzględnie niszczy przestrzeń.

Jedyna rzecz, którą potrafimy z nim skojarzyć jest cień, który wyrzuca z siebie. Ów cień, który wydaje się nam być najpotworniejszą pomysłką — skojarzony z owym tworem, o którym wiemy, iż nie zrodziła go żadna z ludzkich teorii i praktyk, i nie z tego co nasze nie jest jego.

To nie jest już zagłada i nie jest nic. Nie usiłujemy tego nawet nazwać. Szukamy w sobie — w innych. I nie znajdujemy. I tak krok po kroku, co dzień.

CIOTKA

MUZYKANT

Grałbym ja wiele, lecz sił mi nie staje
I po strunie pęka strunka —
Choć jeszcze pieśń ma ożywia zagaje,
Choć z dumki rodzi się dumka.

Grałbym ja długo, lecz śmierć czuję bliską,
Ostatnie nadchodzą chwile...
Pękajcie, struny, gdy kończy się wszystko,
Razem spocniemy w mogile!

A może z liry mej iwa wyrośnie,
Białe z pękniętych strun kwiecie,
By któreś wiosny pod iwą radośnie
Zaczęły bawić się dziećmi?

Któreś z nich może fujarkę wykreśli,
Wnuczkę mej liry strzaskanej —
Tak zagra, że znów ożyją w pamięci
Pieśni me niedośpiewane?

Struny po dziadku, zerwane przedwcześnie,
Znowu tak zabrzmiały jak dzwony —
Tych, które bardzo ukochał ten pieśni
We wnukach zbudzą się tony.

A na Zaduszkę, pod poźółką iwą
Nagle usłyszysz się słowo,
Że pieśń ożyła ze strokotną siłą,
Ozwie się lira na nowo!

1999

Przełożył: JAN HUSZCZA

CIOTKA

Z OBCYZNY

I duszno, i ciasno, i serce me rwie się
Z daleka od bliskich, bo inny tu kraj...
Leciabym ptakiem po nieba bezkresie,
Jak fala po morzu do swoich bym szła!

Ach, unieś się rosy kropelką w przestworza
I przylgnąć do wiatrem pędzonych tam chmur,
Szybować w te strony, gdzie zora łśni hoża,
Gdzie szumi prastary nad Niemnem nasz bór.

Tam znaleźć się znowu, gdzie Wilia ma droga
I gdzie Wilno gniazdo uwiło wśród wzgórz,
Gdzie krzyż mnie przedyżno i każda zna droga,
Gdzie wszystko mnie wzywa: ach, wracajże już!

Bo tam przysłałam na świat, tam słowa poznałam
Najpierwsze — i pierwszy zrobiłam swój krok.
Dlatego bym dzisiaj tak szybko jak strzała
Pobiegła, gdy Nowy witają tam Rok.

Ot, przymknę powieki: śniegową powłoką
Pokryte dostrzegam zagony i las.
Obrazy, co w serce zapadły głęboko,
Co w duszy odróżają się jeszcze nie raz.

O, twarze przyjaciół szarżające, sterane,
O, druha mój, smutku, w ich oczach ta łza.
Przyjmijcie dziś moje z obczyzny przesłanie,
Ażby w tym roku łez żyło się nam!

Kraków, I. I. 1999

Przełożył: Tadeusz Głogier

PIERWSZA POETKA BIAŁORUSKA

(W setną rocznicę urodzin)

Alaiza Paskiewicz ur. się 15 lipca 1876 roku we wsi Pieszczyne koło Lidy na Wileńszczyźnie, w dość zamożnej rodzinie szlacheckiej. Pęd do wiedzy i pęd do działalności społeczno-rewolucyjnej — oto co charakteryzuje stosunkowo krótkie życie tej poetki i wielkiej społeczniczki w jednej osobie.

ukończyła gimnazjum prywatne w Wilnie, a następnie, w latach 1902—1904, uczęszczała na wyższe kursy edukacyjne w Petersburgu. Wróciła do Wilna i pracowała jako felczer w szpitalu psychiatrycznym w pobliżu Nowej Wilejki.

Wcześniej zaczęła uczestniczyć w nielegalnej działalności, organizować kółka robotnicze zwłaszcza wśród kobiet. W 1906 roku, ze względu na udział w rewolucyjnych ruchach owego okresu, wyemigrowała do Galicji pod zaborem austriackim. Zapisala się na uniwersytet lwowski jako wolna słuchaczka. Przez jakiś czas, by leczyć gruźlicę, mieszkała w Zakopanem, zapisała się na wydział humanistyczny Uniwersytetu Jagiellońskiego.

Pisała wiersze i opowiadania w języku białoruskim, niechybity jeszcze ekszaktowanym literacko. W 1906 roku wydała zbiórkę dla dzieci i młodzieży, wierszy lirycznych: CHREST NA SWABODU — Błogosławieństwo dla wolności — i tomik pod tytułem: SKRYPKA BIAŁORUSKAJA — Skrzypka białoruska. Jej pseudonim literacki — powszechnie znany — to CIOTKA.

W 1911 roku wróciła do kraju, w Mińsku zaczęła redagować pismo dla dzieci i młodzieży. W 1916 roku, gdy jej strony znajdowały się pod okupacją niemiecką, wróciła do rodzinnych okolic, aby tam pomagać w zwalczaniu epidemii tyfusu. Zaznacza się i zmarła.

Z przedstawianych tu utworów pierwszy powstał pod wrażeniem krwawego stłumienia pochodu robotniczego w dniu 9 stycznia 1905 roku w Petersburgu.

JAN HUSZCZA

REPORTAŻ ZAGRANICZNY

Dalszy ciąg ze str. 1

dzieckiej. Wyglądają normalne, jak to poeci lub prozaicy, może tam który dramat ukuła, nie wyczuwa się w każdym razie obecności krytyków, gdyż atmosfera jest pogodna, naturalna, nikt nie sprawia wrażenia wszechwiedzącego.

siada duże porty, chociażby Noworosijsk. Sypie cyframi jak z rękawa, głosi pochwałę przemysłu maszynowego, podkreśla szczególne znaczenie maszyn drukarskich i kompresorów, może i mebli, a ja spoglądam za okno i czuję się trochę tak jak ów dziennikarz, który pisze reportaż na podstawie przewodników turystycznych i prospektów reklamowych. Słyszę

w wojnie przeciw Finom generała Mannerheima. Wielki łuk kurski, forsowanie Dniepru, partyzantka, obóz koncentracyjny, te właśnie etapy nieśczęść matki z Dnieprowskiej stolicy, oznaczone mogiłami synów, wyrażają także i szersze dzieje.

Muzeum Matki składa się ze zwykłych rekwizytów, ani jednego w nim dzieła sztuki tylko — taczanka koza-

sprzeczne opinie na temat gospodarki kolektywnej, wysiadłem więc przed siedzibą kierownictwa kolchozu „Dymitrow” raczej wolny od uprzedzeń, ale też i nie zaangażowany.

Powitania w kolchozach oparte były na kilku podobnych do siebie wariantach. Wszędzie wybiegała nam naprzeciw grupa pionierów z kwiatami, które kładło się pod pomnikami, niekiedy przygrywała orkiestra, albo też wręczano nam chleb z solą. Gazetowi reporterzy pstrykali gęsto, ale fotografowie podsuwali mikrofony, a wszędzie witali nas przewodniczący i sekretarze, z czego można było bez trudu wnosić, że pisarze cieszą się uznaniem wysokiej marki.

Wzruszyło nas przyjęcie w Dnieprowskiej stolicy, gdzie miesi się kierownictwo kolchozu. Szpalery wyprostowanych pionierów wzdłuż drogi prowadzącej do pomnika poległych staniczników, apelowo melodia odegrana drąco na trąbce przez młodzieńczego chłopca, okazały obelisk i obok skromna mogiła matki. Szacunek dla tradycji wielkiej, liczą Kozacy starymi poległych w wojnie domowej i tej ostatniej przeciw faszystom, ryją w jasnym kamieniu złotymi literami ich nazwiska. A z nami witają się żywi bohaterowie. Są z reguły przy orderach, trzymają się prosto, pracują w dalszym ciągu, otaczani powszechnym szacunkiem.

Przewodniczący kolchozu Anatol Nikiszyn i Aleksander Cyba — sekretarz organizacji partyjnej od razu wywiedli nas samochodami w pole. Po co gadać, kiedy wszystko można zobaczyć. Bardzo mi się takie stanowisko podoba, ja także nie choruję na nadmiar skłonności do teoretycznych rozważań. Myślę jednak, a nawet jestem pewien, że kiedy inżynier — rolnik Anatol Nikiszyn opowiadał nam o pracy kolchozu, nie obeszło się bez cyfr. Sęk w tym, że mało co zrozumiałem. I nie dlatego, żeby wykład znakomitego gospodarza był niejasny, po prostu i zwyczajnie uległem zachwytowi debiutanta. Wszystko tu zdaje się nie mieć końca, ani ziemia ani niebo. Ciągną się prawie ku nieskończoności zielone i młode o tej porze pola pszenicy, dorodnej i gęstej, słonecznika, kukurydzy, buraków, rzepaku, czy przemysłnie kojarzonych roślin pastewnych. Gdzieś na horyzoncie majaczą smugi drzew, ale to nie są lasy, lecz pasy ochronne, sadzone przez człowieka w wielkie kwadraty. Te pasy pomagają przy zachowaniu odpowiedniego klimatu. I jeszcze winnice na słonecznych podgórzach, kilometry kwitnących właśnie drzew owocowych, jeszcze i pola warzywne, których końca nie widać — ogórki, pomidory, fasola, pasternak, majeranek i koper.

Cóż się dziwić, człowiek przyzwyczajony do naszych nie nabył wielkich, ograniczonych miedziami gospodarstw, ulega tutaj pewnej fascynacji, gapi się na czarną ziemię, jak na przedziwny ocean, czuje szeroki oddech ziemi, umykają więc jego uwagi bardzo ważne wskaźniki i procenty. Słyszę, co prawda, że na tej czarnej ziemi nawet kij wyrośnie, jeśli go mocno osadzić, ale już w chwili później odkrywam, że to wcale nie jest równina. Co jakiś czas czarna ziemia faluje, opada, a w dolinach, okragłych nieckach mrugają do nas błękitne oczy jezior. W szuwarach siedzą wędkarze, podśpiewują, palą papierosy i łowią. Znowu serce się kraje, ryba wciąż bierze, przecież widzę, że ciągną tłuste karpie, okonie i liny.

Anatol Nikiszyn sprawia na pierwszy rzut oka wrażenie eleganckiego a przede wszystkim statecznego pana, ale to pełen temperamentu romantyk, wykształcony dziecko kubańskiej przyrody. Przepędza wolą stada srok, goni zajace, śpiewa i dopomina się o polskie melodie. Zamiast pokazać nam jak się doi krowy przy pomocy elektryczności, albo z mleka robi masło, schabę ze świnek wiezie nas do maleńkiego domku rybaka nad czystą rzeką i rozleże stawy. Po co pokazywać jak rośnie, tuczy się, kiedy można skosztować gotowe, po owocach poznać je — powiada ze śmiechem — jak powiedział pewien klasyk.

Zachodzi słońce, zieleni pól głęboka, wody pozłoczone, na światła spada wiosenny śnieg, biały puch z kwitnących drzew, cichną echa ludzkiej pracy, milczą już maszyny, ale od stolicy słychać wesoły śpiew, ludzie zbierają się wieczorami, to stary obyczaj staniczników. My także wymieniamy piosenki i pieśni. Przy stole, w rybaku, wymieniamy i toasty, naszpikowane przysłowiami. W końcu tak trzeba przy skromnym, żołnierskim poczęstunku, na który składają się kawłory, góry pomidorów, słodkiej cebuli, ogórki, olbrzymich rozmiarów rzodkiewki, mięsa na zimno, ryba na zimno i gorąco, szaszłyki, ucha czyli znakomita zupa rybna z łbem karpia na talerzu, słowem jak to w żołnierza, czym chata bogata, nie więcej. Tylko ta odrobina wódki pochodzi ze sklepu.

WIESŁAW JAŻDŻYŃSKI

(dokończenie w następnym numerze)

OPOWIADANIE

OSTAP WYSZNIA

CUDZA MIŁOŚĆ

Dawno nie widziałem Waski Łba. Niedługo, chociaż nie przepadałbym za sobą, pogadać — pogadałbym o tym i owym przy piwku. Jeden drugiemu doradził to lub tamto. I nagle znów los nas ze sobą zderzył w „Bajaderce” gdzie Waska był traktowany jak stały bywalec. A ja miałem niewiele piwnego stażu, ale byłem na najlepszej drodze. Akurat miałem na piwo, a Waska lubił piwo (i wódkę też!) i to nas złączyło, ale nie tylko: mieliśmy podobne charaktery.

Bywałem z Waską Łbem i w przydworcowych pijalniach zwanych kaskumbami (tam też go znałem) i w różnych melinach... Uczył mnie Waska ciekawego życia, a w chwili przypływu sympatii do mnie — walił mnie serdecznie po grzbiecie i mówił z czułością w głosie:

— Frajer jesteś, to ci powiem. Fajny facet, swój facet, a frajer. Ale to nie, podciągniesz się. Tylko mnie słuchaj... Podobaj mi się Waska. Imponował mi także, jako były „artysta”, a może z innych powodów.

— Ech, ty! — mówił do mnie Waska. — Kim ty jesteś! A ja — artysta. Żebyś wiedział jeszcze jaki! Jak wyjdę na scenę, jak zaśpiewam:

Czemuś ty mnie, moja miła, samotnego porzuciła...

Wszystcy prawie zawali dostawali, a Waska ryczał... W takich razach podchodził kelner, walił Waskę po ramieniu i rozkazywał:

— Tu się nie śpiewa!

A Waska dopsiewywał resztę nut i zapijał to piwem.

— Jak nie to nie! Czego się czepiasz?...

I popadł w zadumę. Wtedy miałem czas, aby popatrzeć dowoli na jego głowę, a raczej na jego fryzurę. Dziwna to była fryzura: swoista serpentyna w pierw spadła na dół, na czoło, potem biegła w stronę skroni, a stamtąd już gdzieś znikła w okolicach potylicy. Ale mimo to ten cały mistyczny „bieg” Wasczyńskiej fryzury, falki, a także ten osobliwy ład na głowie — wszystko to było tak piękne, jak dzieło sztuki... Waska zawsze był tak uczesany, a miał fryzurę najpiękniejszą, jaką widziałem w życiu. Oto jaki był Waska! Dlatego imponowało mi spotkanie się z nim; ostatni raz widziałem go trzy lata temu. Już nawet zaczynałem o nim zapominać, ale — jak to się mówi — góra z górą...

I oto właśnie leżę sobie w miejskim parku na zielonej trawce plecami do góry i patrzę, jak jeden owad drugiemu leć odgrzyza. Patrzę ja na to i myślę: a czemuż to jeden owad drugiemu leć odgrzyza, a nie co innego, kiedy ktoś z tyłu baci mnie pałą!

Patrzę — Waska!

— Ja cie... To ty?!

— Ja — mówi Waska.

— Skąd cię niesie? I czemuś takis elegancki?

I w rzeczy samej garnitur na nim prosto spod ziemi, jak to się mówi, taki nowiutki. Na nogach modne buty, mokasyny, a na lewej ręce zamkowa rekawiczka. Pali Waska też nie byle co „Jawę”. I fryzura jeszcze piękniejsza niż przedtem. Nawet na brylantynę go teraz stać.

— Jak lord — mówię do Waski — tak wyglądasz. Gdzie robisz?

— Żyję tak, jak nigdy, stary! Mówię ci, taką mam robotę: nie kurzy się, nie narobił się, a forsy, jak lodu. Powiem ci prawdę; z miłości żyję...

— Ożeniłeś się!

— Wariat! Nie z własnej miłości a z cudzej.

— Z dziewczynki: o to chodzi?... Bo inaczej nie rozumiem.

— Postuchaj, frajerze: inni kochają, a ja z tego żyję...

— Ciebie kochają?... Za co?

— Siebie kochają!

— Jak to?!

— Postuchaj, tylko cicho sza! Ani mru-mru: chodzi o sporą forę. Rozumiesz? Bo tu w parku młodzi przychodzą się kochać, więc sobie sładzą na laweczce niby nigdy nie i tylko patrzysz, kikujesz ich, kapujesz? Idzie parka, a ty za nimi; oni w bocznej alejce — ty za nimi. Tylko nie od razu: usiedli, zaczynają się całować... Jeszcze chwileczkę odczekujesz, a tam miłość już prawie w pełni. Wtedy ty — hop! Masz ich. Dowodzik proszę. Takie rzeczy w publicznym miejscu? Idziemy na komisariat! A oni: panie władzo, więcej nie będziemy. Mandat i tu możemy zapłacić. Dobra, mówię, i robie groźną minę. Dziesięć karbowanów. Oto pokwitowanie, i żeby mi więcej tego nie było, jasne? Jasne, mówią. Dają dziesiątki i nawet na pokwitowanie nie czekają. No co, fajna robota? Nie kurzy się... Włosna to nawet stówę dziennie wyciągniesz.

Popatrzyłem na niego z uznaniem. Zarobek niezły, to fakt, oprócz tego nikt z władz do niego się nie przycepi: przecież on zwalcza niemoralność wśród młodzieży...

— Ty masz łeb, Waska! — mówię. — No to cześć! — krzyczy mój przyjaciół, bo już zobaczył jak parka skreśliła w bocznej alejce. — Znowu wpadnie dycha. Dziś piwo ja stawiam...

GEOGRAFIA SERDECZNA

Jedziemy do miasta pod ciepłym słońcem. Błękit jak na południu, jaśniejszy i bardziej niż u nas soczysty. Po łódzkich i moskiewskich chło-

wciąż gorączkowy szept tłumaczek, widzę, że wszyscy notują, rzucam się więc znowu do pióra i zapisuję, że na Kubaniu występuje równocześnie 390

eka z maximem, ubogi sprzęt gospodarski, żarna, kosy, drewniana socha, wytarty strój biednego Kozaka, szubienica postawiona przez „białych” od



dach, miło jest zrzucić płaszcze i marynarki, wystawić blade twarze na ciepły, ożywczy wiatr. Nim głowa po rozum sięgnie, już serce wszystko załatwi, pomyślałem więc sobie z radością — odpocznijmy, wybeczymy się w tym ciepłku, może uda się nawet coś napisać. Nie wiedziałem jak bardzo byłem daleki od prawdy, ani przez myśl mi przeszło, że czeka mnie dobra przygoda i trzeba będzie mieć kondycję maratończyka, żeby ją w pełni przeżyć.

Na początku były cyfry, charakteryzujące mój nowy ład, co poradzić taka to już epoka. Kiedyś powierzało się dusze Bogu, teraz statystykom, oni zaczynają pierwszy objaśnianie świata. Kubań przypomina rozmiarami Austrię, ludność jednak mniej, nieco powyżej 4 milionów. Połowa ludzi mieszka na wsi, w stanicach i furtoch. Kubań to potęga, dostarcza krajowi 8 milionów ton ziarna rocznie. Co czwarty kilogram masy i cukru, wyprodukowany w Rosyjskiej Republice Socjalistycznej pochodzi z Kubania, podobnie co czwarty kilogram herbaty, najlepszej w Związku Radzieckim, nądrożonej ostatnio na równi z celionką. Kukurydza sęje się na 60-ciu tysiącach hektarów, drugie tyle zajmują kwiaty słoneca, słoneczniki po polsku. Najwięcej jest jednak pszenicy, sławnej na całym świecie, ale nie zdążyłem zapisać ile jest w końcu tej pszenicy, buraki także przegapiłem. Cyfry, trzeba przyznać, imponujące. Kubańskie pola orze każdego roku 51 tysięcy traktorów. W Instytutach rolnictwa i innych uczelniach studuje 18 tysięcy młodzieży. Część specjalizuje się w zakresie kultur rolnych subtropiku, a potem służy nie tylko swojemu krajowi, ale i Afryce.

Moja wyobraźnia, nie taka znowu bogata jak się okazało, próbuje przełożyć cyfry na obrazy. Kubań to kraj 360-ciu kolchozów. Każdy z nich posiada przeciętnie 12 tysięcy hektarów, niektóre jednak gospodarują na 20 tysiącach hektarów. Każdego dnia sięje się coś na Kubaniu albo sadzi i coś się równocześnie zbiera — rzepak, buraki, winogrona, słonecznik, pszenica, jabłka, pomidory, ogórki, ryż, herbatę, odchodzą w różne strony kraju pociągi masła, jaj, kur, świń, rozmaitego mięsa, oleju — jakże to sobie przedstawić obrazowo? Nie daję rady, widzę tylko długi pociąg, jak stąd do Paryża, ale to przecież bez sensu.

Sekretarz Komitetu Rejonowego mówi jeszcze, że na każde 100 hektarów przypada jeden kombajn. Zwraca uwagę na gospodarke rybna. Kubań leży nad dwoma morzami i po-

rozmaitych kultur rolnych. Ale nie zbliżam się do nowego ładu.

TRADYCJA I WSPÓLCZESNOŚĆ

Do czarnej ziemi docieramy zgodnie z planem, a więc nie od razu, tylko przewidzianymi etapami. Ruszamy grupami w stronę, że tak powiem, niższego piętra. Rejon Timoszkowski uważany jest za najbardziej zasobny w całej krasnodarskiej ziemi. Sekretarz tego obszaru — Walenty Sokolow, nie przesadza z cyframi, ale i on nie może się bez nich obejść. Opowiada nam z wyraźną dumą o największej w skali republiki fabryce cukru, wielkim kombinacie mięsnym, wytwórnich sera, win, przetworów owocowych, dodaje też chyba z troszeczką fałszywą skromnością, że jego rejon wykonał zadania pięciolatki w cztery lata. Nie zapomina o warzywach i owocach, ale — to się z przyjemnością wyczuwa — najchętniej mówi o ludziach. Nie widziałem ich jeszcze i nie wiem jacy są — serdeczni czy ośli, wylewni czy rzeczowi, otwarci, skroty do przyjaźni, czy tylko uprzejmie po-prawni. Trudno mi się domyślić, co w końcu wiedzą o moim kraju, daleko stąd do Polski, lubią tu nas, a może nie bardzo odróżniają od Czechów czy Bułgarów, albo Serbów? Walenty Sokolow informuje, że połowa mieszkańców ziemi Timoszkowskiej uzyskała już wyższe wykształcenie lub średnie. Na jedno gospodarstwo rolne przypada obecnie 86-ciu specjalistów, podczas gdy w roku 1960 było ich zaledwie 46-ciu. Współczesna śmietanka nie tyle towarzyska co obywatelska składa się z inżynierów-rolników, agronomów, mechanizatorów rolnictwa, elektryków, z dawnej pozostałości lekarzy i nauczycieli.

No i puszcza nas sekretarz na długi wybieg. Dzień znowu pogodny, kwitną akacje, bez i jaśminy. Timoszkowska wyłożona dywanami kwiatów. Nad rzeką Tirpilo, która mogłaby u nas z powodzeniem udawać naszą Wartę, czysta jednak i szeroko rozlana, siedzą Kozacy i łowią ryby. Serce mi się trochę kraje, bo ryba akurat ładnie bierze. Nafaszerowani cyframi, rozgrzani słońcem kierujemy nasze pierwsze kroki nie na pola, ani do stacji traktorowych, lecz do Muzeum Matki. Nigdy dotąd nie widziałem muzeum poświęconego w całości zwykłej kobiecie, która urodziła dziewczęciu synów i dziewczęciu straciła. Ból matki został wkomponowany w dramatyczne dzieje czarnej ziemi i całego kraju. Pierwszy syn zginął tuż przed II wojną światową, padł w walce przeciw interwencji japońskiej, następny

Denikina, legitymacje komsomolskie, partyjne, pochwały, które otrzymywali synowie za dobrą pracę i służbę wojenną, listy do matki, proste i wzruszające, wiersze najzdolniejszego stęsknionego za Kubaniem i domem, porzuciła broń, ziemia z grobów synów, skamieniała na zdjęciu twarz zrozpaczonej matki Jępiłini Stefanowej. Ale te zwykłe rekwizyty, pochodzące jakby z regionalnych muzeów etnograficznych, czy może i historycznych, są tu na miejscu i większe czynią wrażenie niż monumentalne pomniki ze szpizu albo marmuru.

Oglądałem także film poświęcony matce, znany w świecie i nagradzany. Nie da się tego filmu opowiedzieć, przynajmniej ja tego nie potrafię. Stefanowa milczy przez godzinę, zaciska ręce, ociera łzy, bez słowa wypełnia gospodarskie obowiązki. Widać jej oczy na tle męki walczących żołnierzy, którzy prą na zachód po zwycięstwo przez deszcze i śniegi. Te oczy jaśnieją w pewnym momencie, są znowu młode, kiedy matka powraca od córek, z wielkiego i obcego miasta do swojej stolicy. Film jest tak sugestywny, że obezwładnia słowa, można tylko podzielić milczeniem matki.

I tak dokonałem pierwszego odkrycia na nieznanym mi łądzie. Poprzez los człowieka poznałem pewien charakterystyczny dla Kubania symbol, który oznacza szacunek dla rodziny, ziemi ojców i szacunek dla tradycji wspólnej wszystkim mieszkańcom tego regionu. A przecież wiele tu mieszka narodowości. Obok Edigejów, nazwanych przez Greków Czerkiesami, osiadłych od wieków, żyją na Kubaniu od końca XVIII wieku Kozacy z Zaporozża, Rosjanie, Ukraińcy, Białorusini, Armieńcy i Grecy.

NA CZARNEJ ZIEMI

Podzieleni na grupy schodzimy na czarną ziemię. Moi towarzysze to poeci — Laryssa Szczęśna z Iwanowo Woźniesieńska, która dopomina się, abym zbliżył pisarzy łódzkich do ich kolegów. Zbliżyli się już kierownicy fabryk, przewodniczący, dziennikarze, tylko pisarze jakoś nie mogą. Obok niej — Sergiusz Dawidow z Leningradu, Oleg Dimitrow z Moskwy oraz Iwan Bielajew, reprezentujący pisarzy kubańskich. No i — oczywiście — przedstawiciele gospodarzy, w sumie trzy czarne wołgi.

Nigdy dotąd nie widziałem kolchozu na własne oczy, stąd pewne podniecenie, chęć uzyskania natychmiastowych odpowiedzi na wszystkie pytania, moje i znajomych. Myślę, że nie podzielały na mnie specjalnie mocno

Z ukraińskiego przełożył:
ROMAN GORZELSKI

Krew ciekła wolno. Spojrzał w lustro. Zobaczyć bladą, obrzękłą twarz i tchórzliwie rozbiegane oczy. Zaraz, zaraz! A jeśli wróci Maria albo przyjedzie matka? Zobaczyć go sztywnego i zimnego, uwalanego krwią... Wzdrygnął się. Nie powinien im robić takiego świństwa. Złożył sobie prowizoryczne opatrunki. Usiadł w fotelu i wypił drugą szklankę wódki. Wszystko przemieszało się: rozpacz, odwaga, gniew. Jest źle. Nie umie utrzymać rodziny i nigdy nie wypłaci się z pijackiego obłąkania. Ale dlaczego nie może zdechnąć jak pijak? Ten numer to jest jeden wielki bluff! Mógł nie tamować krwi i byłoby po wszystkim. Gówno prawda, wcale mu nie zależy na Marii. Myśli tylko o sobie. Jest nędznym, tchórzliwym pijaczyną.

Zerwał opatrunki. Był pijany i nie czuł bólu, toteż silnie pociągnął żyletką. Zasmiał się. Co to za bohaterstwo, kiedy nie czuje się śmierci! Zaciął pięść i podstawił rękę do lustra. Krew ciekła silnym strumieniem, skapywała po łokciu i opadała kroplami na posadzkę. Ręka zaczęła drżeć. Zobaczył w lustrze bladniejącą twarz i obce, porażone lekkim oczu. Pociął się nagle smarkaczem sprzed lat, który wypłynął na środek dużego stawu. Nad wsia wisiła cisza. Był sam pośrodku toni odbijającej barwę nieba. Wyteżał wszystkie siły płynąc do brzegu. Nagle kurcz nogi szarpnął go w dół, woda zabulgotała wokół ust... Słabił i tracił równowagę... Teraz przeżywał to ponownie. Staniał się przed lustrem, osuwał na kolana, aby w pewnej chwili zdobyć się na podwignięcie ciała. Szybko zakładał opatrunki, zmywał z posadzki krew. Głupi pomysł, myślał, i głupia komediantka śmierć. Wypił resztę wódki, zasnął. Rankiem ze wstydem i niesmakiem oglądał płytkie, zakrzepłe cieciska.

Drgnął, czując na plecach dłoń Żelów.

— Będziesz się golić? — spytał Józka.

— Po co? — roześmiał się w odpowiedzi.

— To schowaj tę kosę — powiedział nieswoim głosem.

— Tak sobie liczę, ile ona mogła ciągnąć torebek i portfeli.

— Nieprawda! — krzyczy Żelowa.

— On na mnie...

Józek podnosi na wysokość oczu opartą w drewno żyletkę.

— A nie chciałaś z nim przyskać? — pyta.

— Zartowała — uspokaja go Marcin.

— Która godzina?

— Młoda, dopiero pierwsza.

— Wydawało mi się, że spałem kilka godzin.

— Jak ci przeszło — mówi Józek wchodząc do większego pokoju — to możemy coś zniszczyć z tego bimbru produkowanego w wannie.

— Myślałem, żeście napoczęli — dziwi się Marcin.

— Czekaliśmy na ciebie, Żelowa, wymyśli szklanki, bo się zmelanżowały.

— Nie potrzebujemy się.

— Wymyśl! Ja ci pomogę.

Wypycha Żelównę do kuchni.

— Kulcz... — szepcze.

— Masz — mówi Żelówka. — Ale ja nie chcę o tym wiedzieć.

— Dobra. Nie poczuł, jak wyciągał?

— Chyba nie.

— Buteleczkę masz?

Żelowa potrząsa przecząco głową. Józek przyciska ją do zlewu.

— Nie rób mi przykrości — szepcze — i wyciąga, no!

— Zapomniałam...

Józek wyjmując żyletkę i przybliża do oczu dziewczyny.

— Co? Chciałabyś wpakować się w te graty i leżeć do góry dupą? Życie anielskie ci się śni?

Żelowa wyjmując z szuflady butelkę z wodą utlenioną. Odkręca korek i podaje Józkowi.

— Sama! Wlejesz parę kropel i postawisz przed nim.

— Mogłeś to zrobić przedtem.

Trzęsąc się ręką wlewa wodę utlenioną do szklanki.

— Wystarczy! — szepcze Józek.

Wchodzi do pokoju, rozstawiając szklanki. Józek szybko rozlewa bimber, podnosi szklankę.

— No to rymy po szkło! — krzyczy.

— Żeby cię nie śmierdziało, trzeba bimber pić!

Żelowa patrzy z trwogą na pijącego Marcina. — Pij! — popędza ją Józek.

Marcin zerka spod ręki na Żelówę. Bierze na nóż trochę masta, obliżuje.

— Wiesz co, Józek. Tak mi się jakoś ciepło zrobiło, luźniej. I muszę ci powiedzieć, że mimo wszystko lubię cię. Pamiętasz, jak nas Siutka szarpała za włosy? Staszko robił miny, a tyś tak chichotał pod ławką, aż się posmarkałeś.

Józek śmieje się.

— Tak było — mówi. Teraz jest inaczej. Pogłaskał cię jak scentrowane kółko. Mówisz, że czekasz, a wcale nie wierzysz w to czekanie!

— Psycholog się znalazł!

Marcin przechyla szklankę. Pije do dna. Żelowa podnosi się, ale Józek łapie ją za rękę.

— A to co? — mówi potrząsając butelką. — Jakbyś był taki wierzący, nie rzychowałbyś szkła na noc.

Marcin opuszcza głowę. Czuje, iż o garnia go znane pijackie zamroczenie, przed którym nie można się obronić. Mózg pracuje jeszcze sprawnie, ale ciało staje się ciężkie i bezwładne jak worek piasku. Tępieje wzrok i słuch.

— Marcin, czy ja ci źle radziłem? —

pyta Józek. — Nie chcę twojej krzywdy. Ale ty jesteś głupi i uparty. Mówię, że trzeba zwinąć ten majdan, bo żadna Rzepicha nigdy tu nie wdepnie. Byłby chociaż pieniądź.

— Ona przyjdzie!

— I ty z mety zostajesz aniołkiem, co? A kto kradł dla tej małej czarnej? Za dużo smrodu zrobiłeś koło siebie.

— Ja? — podrywa się Marcin. — Ja zawsze mogę się oczyścić!

— Spróbuj. Myślisz, że uwierzą ciemu tankowcowi? Przecież ty dziecka omal nie utopiłeś...

Marcin wstaje i ślaniając się idzie na Józka. Żelowa rzuca się ku niemu. Józek odpycha ją. Wali pięścią w twarz Marcina, który zgłoty wpół pada na podłogę. W oczach oślepiająca jasność; syją się kolorowe obrazki, klują jaskrawością barw, skracają się w okaleczoną pięść Garbusa... Marcin roz-

— Mnie może tylko Czarny, ty...

Czarny prowadził, usiłując wpełznąć do taksówki. Jezus, przecież Czarny jest w szpitalu! A on? W tramwaju chyba... Zaducho, tłoczno, bolesna jasność, czerwien, ciało dziewczyny, miękkie i gorące... Dłonie szukają tego miejsca...

— Pan się odsunie, dobrze?

Ostrzeżenie wlicza się w mózg. Ale w filmie nie było monopolu. Duża, płaska butelka... Czuje jej kształt. Odrywając zakrętkę, kaleczy palce. Żeby już, na ulicy, ale za duży ruch.

— Rece! Wytrzymaj ręce — bełkocze wystawiając zalane krwią i wódką dłonie. W tecze skorupy, szkło.

— Czarny, dla mnie za wysoko. Szóste piętro? Po co nam te kajuty?

— Z kim ty rozmawiasz? — pyta z przerażeniem Maria. — Położ się spać. Nie może zasnąć. Rzuca się, jęczy, zgrzyta zębami. Tłucze się po mieszk-

z pijacką serdecznością. — Syna chcesz ratować? Usiadł, napij się piwa.

— Wyjdź stąd — szepcze zrozpaczona. — Wyjdź, bo będzie nieszczęście!

— Zaraz, tylko to piwo, zaraz...

Czas stanął. Wokół wozacy, bezsensowna wólczość, wchodzenie do nieznanym mieszkaniu. Dzień topi się w różowych cieniach. I sen, z którego wyszli w połowie nocy.

Leżeli w ubraniach, sięgając po przygotowane wcześniej butelki z wodą. Za oknem świt zalewał szkarłatem korony drzew. Ktoś szarpnął klamkę. Wszedł Garbus, postawił na podłodze półlitrowkę. Piekło spuchnięte, przeżarte alkoholem gardło. Marcin pił dla usmierzienia bólu. I żeby nie myśleć. Żeby zapomnieć.

— Garbus, dlaczego nigdy nie mówisz, jak tam jest? — spytał Paproch.

— Po co? Trafisz, to będziesz wiedział.

— Przed kim uciekasz? Dokąd? — usłyszał jej głos.

Pojasniało. W zbliżeniu twarz siostry Paprocha. Patrząc ze współczuciem podała jakieś krople. Dobra dziewczyna. A on? Kocha Marię. Kocha żalosną, złą miłością, którą znieczula wódka. Zawsze pragnie wracać, boi się jednak smutnych oczu Marii.

Trzyma długofalowy, gorący szwung. Trudno wypaść z rytmu. To wszystko dzieje się bez jego woli. „Zajazd”, butelka jarzbiaku w torbie, stojący przed posterunkiem kapral. Niechby go teraz zwinęli, zawieźli do domu i postawili przed Marią! Żeby nie on sam. Z kimś łatwiej wejść, śmieiej można spojrzeć w oczy.

— Pan mnie zamknie — mówi Marcin. — No, pan mnie zamknie!

Kapral odwraca się z uśmiechem. A twarz matki Paprocha zmieniała, straszna. I te jej pełne nienawiści oczy.

— Boże, złituj się! Dla niego ten dom, ten nie wykończony dom, a on? Ani do roboty, ani do żeniaczki. Wstyd, panie, że i pan tak, wstyd...

Usiedli na podłodze. Prosto z butelki, pod palec, sprawiedliwie.

— Masz rację, że nie idziesz na żeniaczkę — bełkocze Marcin.

— Sie zgadza — mruczy Paproch. — Na budowie była jedna dziewczyna, druga... I nie ma, nie ma żadnej! Trzymaj się, póki się nie spaskudzi w łóżku.

— Kobieta cierpi przez pijaka, a pijak cierpi przez kobietę. Chce cię ratować, namawia na piguły, ale nie wierzy, bo pijakowi się nie wierzy. I to jest najgorsze. To jest kompletne zbydlenie. Kobieta staje się nieufna, martwi się o twój powrót.

— Wiesz, że jak jest woda, to zaraz zaczyna się jazda po kurewkach. Sie zgadza?

— Pijakowi kobieta jest niepotrzebna — mówi z zalem Marcin.

— Ani on jej!

— Fakt. Miłość topi się w wodce, a żona przy tobie już tylko z litości... I właśnie tą litością bije cię po mordzie. Najgorsze, że nigdy nie wiesz, co będzie jutro. Najpierw kochasz kobietę, dziecko, które ci urodzi...

— Zakochany — przerywa Paproch — też jak pijany jest, tylko inaczej.

— No, właśnie! A później wylatujesz ze ściężki i łapięsz orient, kim jesteś dla kobiety, którą pokochałeś. Do łóżka nie pasujesz, bo tracisz smykałkę do kochania. W łóżku jesteś cuchnący trup, który zatruta wszystkim fermentowanym chuchem. Piękna legenda, co?

Gasną myśli, rwą się słowa, głowa ciąży, opada na piersi. Marcin wspiera się na łokciach, ale czarne dno ciągnie go ośliziłym, czerwonym szymbem z przerażającą szybkością. Nie ma żadnego punktu zaczepienia... Nie czuje ręk matki wyrwujących go z mrogo dna. Potem migają w pędzie drzewa. Schody, blask, w świetle twarz Marii.

— Poznajesz mnie?

Przymyka oczy. Tak dobrze i bezpiecznie, spokoj.

— Jesteś gotów? — dobiega szepem jej pytanie.

Z wysiłkiem kiwa głową. Bez sprzeciwu pozwala się ułożyć na noszach, niemal z wdzięcznością patrzy na tych białych.

Po serii zastrzyków zasnął.

Kiedy otworzył oczy, ujrzał biel przytłumioną słabym, fioletowym światłem. Westchnął, przeciągnął się leniwie. Minęło najstraszniejsze, te cholerne drgawki i zawroty głowy...

Ktoś otwiera okno, przez które wsuwa się jakiś mężczyzna. Staje na chwilnych nogach, z trudem łapiąc równowagę. Ma dzikie spojrzenie, jest zarośnięty, cuchnie wódką.

— Pan inżynier wrócił? — pyta ten, co go wypuścił.

Inżynier osuwa się na kolana.

— Matko Boska, zróbcie coś. Ja... ja chyba sobie... — przejeżdża palcem po gardle. — Zachłamałem, pięć dni nie jadłem. Zimno, nigdzie kąta, może tutaj?

Otoczają go. Pryska cisza. Boże, kiedy wreszcie skończy się ta piekielna noc? Na sąsiednim łóżku ktoś wyje jak opętany. Pod ścianą dwóch kiwa się na kłęczkach i szepcze przepłatana kłótnią modlitwę.

Rankiem do łóżka podczołgał się rudy. Chichocząc wsadził głowę pod koc. Marcin oprzytomniał, ujrawszy wlepione w siebie niesamowite spojrzenie przekrwionych, obłąkanych oczu. Rzucił się do tyłu. Byłby spadł, gdyby nie podtrzymał go leżący z tyłu pacjent. Rudy okrzyknął na czworakach łóżko. Śliniąc się obficie, usiłował pocałować Marcina w nogę.

— Myśli, że jesteś jego żoną — wyjaśnił sąsiad. — Wierzy, że jak przepraszam, to ona go stąd zabierze.

— Przecież to wariat — szepnął z przerażeniem.

— Pan się boi? — usłyszał głos lekarza. — Nie spotkał pan go gdzieś pod kioskiem?

Trzęsącymi się rękoma zapalał papierosa. Oblał go zimnym pot. Wielokrotnie kiwał się z Marią. Twierdził, że nie ma halucynacji. Kłamał. Wykrzykiwał, że nie grozi mu schizofrenia, bo alkohol nie niszczy mózgu.

KONIEC

RYSZARD BINKOWSKI

BIAŁE ŚWIATŁO



Rys. Janusz Szymański-Glane

wiera tę pięść, wewnątrz niej widzi drobną twarz dziecka... Boi się tego widoku, ucieka w gasnącą jesień, w mgłę płynącą nad łakami. Tam bezpiecznie. Ludzie kupują ciepłą odzież, zwożą ziemniaki, węgiel; pod sklepem chłopci ciągną zimne piwo. Nikt go nie zaczepia, nawet Garbus, balansujący chwiejnie w drzwiach „Zajazdu”.

Knapka moczy się w piwie. Przy stoliku sterczy głupi Hynu. Patrzy, łakomie obliżuje wargi. Zlewa resztki. Gdy pije, grdyka skacze mu śmieślnie. Zapaliby po piwie. Wyciąga z popielniczki pety i ssie, parząc palce i wargi.

Marcin z Garbusem trykają się łbami nad stolikiem.

— Co zrobisz z taką ręką? Mebla nie zrobisz, zresztą nie mam materiału. Stolek zbije, ławkę. Do hebla trzeba mieć czucie w obu rękach. Zostaje odświeżanie starych gratów. Długo nie mogę, szkiełki zwarte, i leżę. Dobrze, że magnes, nie? A potem? Garść soli do polityru. Lakier wiąże się z solą, i na dno... Zostaje czyszczenie alkoholem, lepszy niż ta pleprzona kieratowa.

Klientów ani widu, Marczak zmarł. Wsuwa za kotary nalana twarz, mruży małe świńskie oczka. Wie, że teraz Marcin pójdzie z nim wszędzie, zapomni te zle chwile i pójdzie, tak.

Ktoś idzie skrajem cienia... W złościej plamie światła znajoma twarz.

— Ja już na stałe — mówi Paproch.

— Musisz się ożenić — bełkocze Marcin. — Wiesz, jak ktoś czeka, to wracasz, hamujesz popijawki.

— A ty hamujesz, Marcin?

— Boję się. Nie chcę straszyc córki, rozumiesz? Nigdy bym tu nie trafił, ale poszedłem nie tym kursem, no i jestem.

Jedzie pociągami, kto go szarpie, żąda dokumentów. Wysiadła w obcym miejscu. Jakiś facet holuje go do taksówki. Wyprowadzają go, stoi pod rynną, nie czuje, że deszcz leje mu się na głowę. Cholernie boi się przejść przez tę czerwona, rwącą rzekę. W obcym mieście czerwona, rozniogana rzeka...

— Ja go wezmę — słyszy.

kanlu, zadrecha Marię, bredząc coś o miłości. Budzi dziecko. W łazience powinna być butelka... Pije, chce ją wyrzucić przez okno, ale Maria łapie go za rękę.

Trzaśnięcie drzwi. Jest sam. Ciężki zapach piwa i ciemność. Wejść w to zaciszną ciemność. Chudy blondyn w szarej jesionce. Stoł, pochyla się. Marcin zakrywa twarz. Śmiech! Wysoki mur i czarne niebo. Śmietnik? Tak, śmietnik za pijalnią. Palto w błocie i obierzynach, stylana czapka.

— Kogo się boisz? — pyta Józek Łapka. — Swoich nie skubię, Marcin! Chcesz żyć?

Wstał, wypił trochę wina. Józek wrzucił pustą butelkę do blaszanego pojemnika.

— Wsadzisz do taksówki?

— Dobrze! Otrępsz się trochę z tego gówna.

— Chcesz, to postawię flachę.

— Sklepy zamknięte. Do knajpy zakaz, bo wyglądasz jak przerebiony w trumnie alfons.

— Szkoda — wystękał trzęsąc obojętną głową.

— Nie martw się! Trafimy się przy halach.

A teraz tutaj... Paproch, wódka, jakieś kotlety. I znów urwany film. Ten film powraca wraz z pragnieniem. Marcin szuka drzwi w nieznanym pokoju. Uderza w twarz chrapiącego z otwartymi ustami Paprocha. Z niechęcią zwraca się z tapczana i przynosi dwie butelki z wodą. Piją, język odkształca się, nabiera gietkości. Papieros ma obcy smak, mdli.

Papoch twierdzi, że musowo kropnąć coś na kota. Przynosi ewiarłkę, jego matka ogrzewa parówką. Opowiada Marcinowi o swoim trudnym życiu.

— Widać, że panu to się rzadko trafia — mówi. — To jego wina, brata utopiłby w wodce. Może pan wpłynie jakoś na niego?

Od tego jej gadania Paproch strasznie wnerwiony. Ciągnie do „Zajazdu”.

Dwie wódki, małe piwo. I jeszcze raz. Pełny oddech, luz.

— Przysłaś, mam — mówi Marcin

DAWNIEJ I DZIŚ

Dostałam kiedyś budzik w prezencie i bardzo mi się podobał. Zaczęłam go jednak nie lubić od pierwszego dzwonka.

Wydało mi się, że mało kto lubi swój budzik, choć wiele osób z przyjemnością przysłuchuje się tykaniu wielkiego ściennego zegara. Od dawna konstruowano różne zegary, które wybijały, wydzwaniały i wygrywały godziny, aby w ten przyjemny sposób pokazywać mijanie czasu. Budziki były zawsze funkcjonalne, przeraźliwe, ostro i hałaśliwie zwiastujące, że oto nadszedł czas, o który nam chodziło. Na usprawiedliwienie budzików można powiedzieć tylko tyle, że sami je wymyślił i sam je stawiamy na określonej godzinie. Ale to nie jest jeszcze powód, aby je polubić.

1.

Czas mijał nieustannie, ale człowiek chciał wiedzieć, jak ten czas mijał. I chce wiedzieć nadal. Dawno temu — jak pisał w książce „Polskie zegary” Wiesława Siedlecka — nawet kota zaprzęgi do mierzenia czasu. Patrząc w oczy kota i jeśli kot miał oczy podłużne to nieomylny znak, że dzień jest jeszcze, a jak miał już okrągłe — to zmierzch się zaczynał. Nadchodzący dzień zwiastował też kogut. Można to było również poznać po kolejno otwierających się kielichach różnych kwiatów.

Mało jednak było człowiekowi obserwacji przyrody i wnioskowania na tej podstawie, jaka ten czas mijał, postanowił zrobić coś, co dokładnie pokazywałoby mu upływanie czasu. Wznieśli więc kij w ziemię i obserwowali przesuwający się jego cień. Był to gnomon, przodek późniejszego zegara słonecznego. Próbowali też człowiek mierzyć upływający czas przepływaniem się ziarenek piasku i wywieraniem kropli wody. To były klepsydry piaskowe i świecowe. Aż wreszcie doszedł do zegara mechanicznego.

Pierwszy zegar mechaniczny skonstruował zakonnik z Aurillac, który później znany był jako papież Sylwester II. Stało się to dość dawno bo w roku tysięcznym. W jego ślady poszli inni i zaczęli powstawać coraz bardziej skomplikowane mechanizmy zegarowe.

2.

Noszą dziś ludzie na rękach zegarki pouzbrajane w różne urządzenia, pokazujące nie tylko sekundy, minuty i godziny, ale też dni i miesiące. Niektóre są nawet miniaturowymi budzikami. Wystarczy jednak sięgnąć do historii zegara, aby przekonać się, że nie jest to nic nowego. Wszystko, albo prawie wszystko już było.

W 1335 roku na wieży kościoła św. Gotharda w Mediolanie umieszczono zegar, który urozmaicał codziennym pojedynkiem rycerzy. W tym czasie takich zegarów, odgrywających co godzinę scenki teatralne, było we Włoszech znacznie więcej. Pojawiały się one również w innych krajach. We Wrocławiu taki zegar skonstruowano w 1368 roku.

Największą popularnością cieszył się wówczas zegar z katedry sztrasburskiej. Zachował się jego opis z 1354 roku. Stanowił on osobną budowlę, wysoką na trzy kondygnacje, posiadającą kilka tarasów. Jedną z nich pokazywała porę popularnego wówczas puszczania krwi, które uzależniano od obiegu różnych planet. Posiadał też taras zegara planetarnego, loggie w której co godzina rozgrywała się scena religijna. Znajdował się tam też ruchomy kogut — symbol mijającego czasu. Zegar ten zaliczano do „siedmiu cudów świata”.

Podobny „cud świata” posiadał w XV wieku Gdańsk. Twórca tego zegara, który powstał w 1470 roku i stanowił arcydzieło mechaniki i astronomii, był mistrz Jan Dueringer. Legenda głosi, że władze miasta kazały oślepić genialnego zegarmistrza, aby nigdzie więcej nie mógł skonstruować podobnej wspaniałości. Badaczom, zainteresowanym tą legendą, udało się stwierdzić, że istotnie mistrz Jan Dueringer zmarł w Gdańsku w 1477 roku, że został pochowany w kościele NMP w Gdańsku, gdzie znajdował się jego zegar i że nigdzie więcej nie udało się znaleźć nawet śladu zegara jego konstrukcji. Gdański zegar przetrwał do 1945 roku, kiedy to zaginął po nim wszelki ślad. Do dziś nie wiadomo, czy został wywieziony przez okupanta i gdzieś ukryty, czy też został zniszczony i spalony podczas działań wojennych.

W dawnych czasach konstruowanie zegarów było bardzo popularne i zajmowali się tym nawet królowie. Zegary budował Zygmunt III Waza, a Jan Kazimierz namiętnie je kolekcjonował. Wśród polskich rzemieślników wielu było znakomitych zegarmistrzów. Sztuką budowania zegarów zajmowali się też uczeni. Polski matematyk i fizyk, ksiądz Adam Kochański, bibliotekarz i nadworny matematyk Jana III Sobieskiego, opracował szereg projektów zastosowania wahadła do zegarów, a także wynalazł nieznaną wówczas regulator, przypominający dzisiejszy balans. Dokonał tego równocześnie z holenderskim fizykiem i astronomem Christia-nem Huygensem. Adam Kochański

napisał też książkę o budowie zegarów, którą w literaturze europejskiej uznaje się za pierwszy podręcznik zegarmistrzowski. Praca ta została opublikowana w 1664 roku w IX księdze obszernego dzieła Kaspra Schotta.

3.

W najbliższej nam historii zegarmistrzostwa niewątpliwą sławę zdobył sobie Antoni Patek, który razem z Franciszkiem Czapkiem założyli w 1839 roku w Genewie warsztat zegarmistrzowski. Postanowili oni robić zegarki odznaczające się solidnością i estetyką. Zyskali sobie bogatą i znakomitą klientelę. W 1845 roku Antoni Patek i Franciszek Czapka rozeszli się, zakładając dwie różne firmy zegarmistrzowskie. Antoni Patek śmiało wprowadził do produkowanych zegarków powstałe wówczas udoskonalenia i jego firma do dziś cieszy się uznaniem i sławą.

W XIX wieku wiele ówczesnych zakładów zegarmistrzowskich przekształciło się w wytwórnie zegarów. Nastąpiła bowiem epoka fabrycznej produkcji zegarów różnego przeznaczenia: ściennych, kominkowych, stojących i kieszonkowych. Kilka takich firm powstało w Warszawie, działały one na Dolnym Śląsku i w Poznańskim. W latach od 1920 do 1938 działała w Cieszyńsku fabryka zegarów „Świt”, która produkowała zegary ściennie, stojące i budziki.

BOGDA MADEJ

ZEGARY

W okresie międzywojennym budziki produkowała też firma warszawska „GF”. Powstała ona w 1891 roku, zatrudniała stu robotników i istniała do 1944 roku.

Obecnie budziki produkuje „Mera-Poltek” w Łodzi.

4.

PAŃSTWOWA FABRYKA ZEGARÓW w Łodzi powstała w 1945 roku. Na początku nazwa niebyle odpowiadała rzeczywistości, gdyż w fabryce robiono cyrkle, narzędzia zegarmistrzowskie oraz zegary telefoniczne. Budziki, produkowane do dziś, rozpoczęto wytwarzać dopiero w 1948 roku. Na wykonanie jednego budzika potrzeba było wówczas 14 godzin, dziś wystarczy — 0,9 godziny. Produkowano też wówczas szybkościomierze do samochodów, a od 1949 roku zaczęto wytwarzać także wiertła dentystyczne.

Zmieniała się nie tylko produkcja fabryki, ale i jej nazwa. Na początku była Państwowa Fabryka Zegarów w Łodzi. Później ŁÓDZKA FABRYKA ZEGARÓW, jeszcze później ZAKŁADY MECHANIZMÓW PRECYZYJNYCH „Mera-Poltek”.

Dziś „Mera-Poltek” wytwarza 1200 tys. budzików rocznie i to stanowi po-

nych baterią, które chodzą z dokładnością około 60 sekund na rok. Również elektroniczny budzik, zasilany baterią, pracuje z dokładnością jednej sekundy na dobę. OŚRODEK ROZWOJU-BADAWCZY ZMP „Mera-Poltek” pracuje nad dalszym udoskonaleniem tachometrów i przygotowuje projekty urządzeń do automatycznego sterowania procesów technologicznych w przemyśle lekkim.

5.

Zaczęło się od narzędzi zegarmistrzowskich i poprzez budziki, wiertła dentystyczne i tachometry dochodzi „Mera-Poltek” do automatyki. Z budzików nie rezygnuje się, ale zamiast połowy produkcji — jak to jest dziś — stanowią one będą zaledwie 20 jej procent. Reszta, czyli 80 procent to będzie automatyka. Aby tak się mogło jednak stać, fabryka musi przejść długi proces modernizacji. Zaczął się on kilka lat temu i potrwa jeszcze kilka lat. Modernizacja dokonuje się w biegu, bez przerywania produkcji. Oddziały przenoszą się z miejsca na miejsce, fabryka przebudowuje się i rozbudowuje, ale ten trud się opłaca. Otrzymuje bowiem nowoczesne wyposażenie, technologie, technikę. Jest nadzieja, że już w niedługim czasie rozpocznie się budowa nowych pomieszczeń i zamiast poszczególnych filii rozrzuconych w 11 punktach Łodzi, wszystko będzie w jednym miejscu.

6.

Zaczęłam od historii zegara, a kończę tworzącą się historią automatyki.

MUZYKA

MARIA CALLAS



Amerkański pisarz, George Jellinek, napisał książkę pt. „Portret primadony”. Z książki tej pochodzą niżej publikowane fragmenty:

— Podobno swój pierwszy popis wokalny odbyła Pani mając lat 13 i jeden miesiąc?

— To prawda. Lecz moim zdaniem powinno istnieć prawo zabraniające zmuszania utalentowanych dzieci do występów w młodym wieku. Każde dziecko winno cieszyć się swoim dzieciństwem. Nie należy dzieci obarczać zbytnią odpowiedzialnością.

— Jak Pani wspomina swoje dzieciństwo?

— Byłam zawsze zbyt dojrzała jak na swój wiek, przez co niebyle szczęśliwa. Nie miałam żadnych przyjaciół w moim wieku. Gdyby to było możliwe raz jeszcze przeżył tamte dni, byłabym się i szalała z moimi rówieśnikami. Ach, jakże byłam głupia!

— Czy to prawda, że Pani jest domatorką?

— Tak. Najważniejszą częścią mojego mieszkania jest pokój z fortepianem, w którym pracuję i ćwiczę. On jest jedynym świadkiem radości chwili, gdy mi wszystko „wychodzi” i tych niepozbawionych obaw, w czasie studiowania nowej partii operowej. Drugie miejsce po nim zajmuje kuchnia, w której spędzam sporo czasu, przyrządzając smaczne potrawy.

— Podobno zna Pani tajemnice kuracji odchudzającej?

— Boże! Gdybym rzeczywiście znalazła sposób na odchudzanie się, opatentowałabym go i stała się chyba najbogatszą kobietą świata!

— Czy słaby wzrok, choć w sprawie tak pięknych oczu, nie przeszkadza Pani w jej pracy?

— Wprost przeciwnie, przynosi mi pewne korzyści. Nie znoszę bowiem oglądać ze sceny wierzających się i krzyczących głowami ludzi na widowni, podczas gdy ja zatapiam się całą w wykonywaną rolę, aby im przekazać wszystko, co czuję, w danym dramacie.

— Jak Pani reaguje na prasę?

— Gdy czytam w niej niektóre rzeczy o mnie, zmuszona jestem śmiać się często, bowiem przyjmując je jedynie za prawdę — doznalabym przykrości.

— Mówi się, że Pani jest do przesady ambitna.

— Słyszałam jeszcze ciekawsze określenie, że jestem „obłąkana na tle swojej ambicji”. To mnie peszy. Choć żyję, dzięki Bogu, całkiem dostatnio, to jednak nie pracuję dla zbiecia fortuny; moja praca wynika z miłości do niej. Muszę przyznać, że bardzo mi pomaga we wszystkim moja silna wola. Nie znam jej źródła, lecz wiem, że to ona nakazuje mi „trzymać się” i iść wciąż naprzód.

— Ma Pani jakąś metodę na zwalczanie osób jej nieżyczliwych?

— Spychanie innych „na dół” będąc samemu „na szczycie” na pewno nie pomaga w utrwalaniu swojej kariery. Lecz jak postępować, gdy ktoś próbuje zranić? Rezygnować? Nigdy!!!

— Co Pani sama sądzi o opiniach na temat jej głosu?

— Jedni twierdzą, że mam piękny głos, drudzy nie są tego zdania. To kwestia gustu. Chciałabym wszystkim oznajmić, że ci, którym on się nie podoba, nie muszą przychodzić, aby mnie słuchać.

— Co Pani preferuje jako wykonawczyni: piękno brzmienia głosu czy interpretację i wyraz śpiewanego tekstu?

— Nigdy nie przystosowuję śpiewanych fraz do „wygody” mojego głosu, pięknie go brzmni, wyrażając sens śpiewanego słowa.

— Jakie ćwiczenia głosowe Pani stosuje?

— Szalenie lubię ćwiczenia wokalne Concona i Panofka. Nie są one suchymi wokalizami, bezwyrazowymi następstwami skali chromatycznej, modrów i tryli, lecz fantastycznymi melodiami i minutowymi skrajkami pięknej muzyki.

— Co Pani powie o relacji śpiewak — orkiestra?

— Śpiew to nie tylko popis wokalny, lecz dyrygentowi nie wolno zapomnieć, że my, śpiewacy, jesteśmy pierwszymi instrumentami orkiestry.

— Jakie wymagania stawia Pani sopranom operowym?

— Pierwszy sopran, to jak pierwsze skrzypce w orkiestrze — powinien być w stanie wykonać każdy rodzaj muzyki. Te zaś, których nie stać na stawiane im określone wymagania techniczne, nie powinny — według mojej opinii — śpiewać.

— Czy śpiewając, myśli Pani o satysfakcji dla samej siebie, czy też gratyfikacji dla zadowolonych innych?

— Naszym obowiązkiem nie jest służyć samemu sobie. Służymy Sztuce i kompozytorom, którzy byli geniuszami (powtarzam: byli). My nimi nie jesteśmy.

— Czym Pani się kieruje w wyborze oper, które ma Pani zamiar śpiewać?

— Jestem śpiewaczką bardzo romantyczną. Nie śpiewam innych oper od tych, które charakteryzuje piękna muzyka. Tylko taka muzyka potrafi wzruszyć słuchacza, który stara się ją zapamiętać i nucić dla przyjemności. Wszystkie inne utwory to tylko „dzielka muzyczne”.

— Jaki jest Pani stosunek do kompozycji operowych naszych czasów?

— Kompozytorzy współcześni winni mi doprawdy wybaczyć, że nie kroczę ich drogą, lecz ja po prostu nie lubię muzyki współczesnej, ponieważ brak w niej piękna i wszystko takie strasznie skomplikowane, a każda dzisiejsza skomplikowana rzecz wzbudza we mnie niepokój i rozstraja nerwowo. Proszę zrozumieć, że ludzie chodzą do Opery po to, aby delektować się czymś pięknym. A jeżeli muzyka potrafi wzruszyć człowieka swym pięknem, jak nie ta, mająca wspaniałą harmonię, szerokie legato, linie melodyczne...?

— Na jak długo żywa się Pani z bohaterkami śpiewanych przez siebie oper?

— Po odśpiewaniu kilku przedstawień, dana opera zaczyna mnie w pewnym sensie nudzić i chętnie zabieram się znowu do czegoś nowego.

— Powzięte wiadomo, że Pani mistrzowska sztuka wokalo-aktorska znalazła największy swój popis w najtrudniejszej chyba partii operowej dla sopranów — w „Normie” Belliniego. Co Pani o tym sądzi?

— Ta opera jest dla mnie całkowitym wyjątkiem. Jej siła magiczna i niezwykle szlachetna i wzniosła muzyka stają się dla mnie za każdym razem czymś nowym. Uwielbiam również takie partie, jak Anna Bolena, Leonora i każda zresztą rolę silnie zarysowaną charakterystycznie postaci, która wnosi życie do muzyki.

— Czy nie interesuje Pani Mozart, np. „Don Giovanni”?

— Donna Anna? Ależ to okropnie nudna partia!

— Chyba jedyna opera Offenbacha byłaby również czymś popisowym dla Pani rozległych możliwości wokalnych?

— Ma Pan na myśli wszystkie trzy role w „Opowieściach Hoffmanna”? Mój drogi, zapłaci mi Pan potrójne honorarium?

— Czy swoją karierę zawdzięcza Pani tylko sobie samej i ewentualnie współpracy ze znakomitymi dyrygentami?

— Nie tylko. Zarówno ten, zdawałoby się najmniej ważny człowiek w Teatrze, jak również ci, którzy śpiewali najmniejsze partie w operach ze mną — każdy z nich dał mi coś i każdy wniósł pewien wkład w tworzenie mojej artystycznej osobowości, w czasie mojej długiej kariery. W naszej pracy bowiem, niezależnie od pozycji, jaką się posiada w świecie muzycznym czy artystycznym, człowiek od każdego się uczy i to w sumie wpływa na wzbogacenie jego osobowości.

— Co sądzi Pani o reklamie i jaka jest jej rola w Pani karierze?

— Generalnie mówiąc, nie lubię reklamy. Nigdy nie placam za to, aby „zrobić sobie” prasę. Uważam reklamę za rzecz kłamliwą, która, w sposób nie dający się uniknąć, zmienia główne rysy prawdy. Nie sądzę również, że reklama była mi pomocna w karierze. Przeciwnie, rozpowszechniała rzeczy stwarzające legendę o tygrysie zwanej Callas, który to portret odrzucał stanowczo, jako nie mój własny, gdyż nie jestem doń podobna.

— Sława — co za tym się kryje?

— My, artyści, walczymy latami o „zrobienie” sobie nazwiska. Gdy nas w końcu sława wszędzie dosięga, jesteśmy skazani na to, aby zawsze być jej godni, ciągle się doskonalić i przezwyciężając we wszystkim samych siebie, aby nie zawieść publiczności. Lecz należy pamiętać, że każdy z nas jest także tylko człowiekiem, o wrodzonych ludzkich słabościach.

Tłumaczył:
WALDEMAR PAWŁOWSKI

TEATR

POGARDZANA

MUZA

Tadeusz Boy-Zeleński właściwie nie napisał recenzji z wystawienia w Teatrze Letnim krotowilli Wincentego Rapackiego (syna) „Wesoły wspólnik”. Opowiedział natomiast czytelnikom wesołą historyjkę swego autorskiego pobytu w Tarnowie, kiedy to znalazł się w sytuacji Chlestałowa.

Tego typu unik nie może dzisiaj nikogo dziwić, a i wtedy w 1932 roku zapewne także czytelników recenzji Boya nie zdziwił. Po prostu materiał literacki, dość banalny, nie dał krytykowi asumptu do rozważań z pogranicza moralnych postaw, socjologicznego punktu widzenia, psychologizmu itp. A życie było hojniejsze. Boy jednak w omawianej „nierecenzji” dotknął samej krotowilli, zwracając uwagę na pewien element zabawowy, który towarzyszy premierom „pięszczonego dziecka Teatru Letniego”. Pisał także o publiczności „zwykłego spektaklu”, która „po prostu kupuje bilet przy kasie i chce się zabawić”. Truizmem jest już dzisiaj powtarzanie tych prawd, a snuć rozważań na temat różnic między premierą a normalnym przedstawieniem stanowi i intelektualny nietakt i anachronizm. Ale ma rację i dzisiaj Boy, kiedy pisze: „rozumie się dopiero wówczas przeznaczenie pewnych dowcipów, gier, które publiczność premierowa przyjmuje dość melancholijnie.” Mając to na uwadze można spojrzeć inaczej na propozycje aktorskie.

Nagromadzenie efektów, owo niemal wschodnie bogactwo środków może doprowadzić do znerwicowania. Wydaje się jednak, że krotowilla, dysponując wątpliwą fabulką musi dać coś w zamian, a więc daje — aktora.

Barbara Marszałek wybrała dla realizacji postaci Heli, aktorki metodę persyflaży. Zabawna była precyzja wykonania niektórych efektów głosowych, tonalnych i gestycznych.

Krystyna Frolich poszła również w tym kierunku i dlatego jej Zosia, pokojówka „nasładowa” pania. Chociaż nie ma tu złośliwości, ironii i szyderstwa, to, obiektywnie rzecz ujmując, reżyser uzyskał kapitalny efekt podwójnego (świadomego i nieświadomego) persyflaży. Był to najwłaściwszy klucz do trącej myszka krotowilli Wincentego Rapackiego (syna).

Wobec tego jak powinny kształtować się postaci Eugeniusza Molińskiego, fabrykanta i owego „wesołego wspólnika” (Krzysztof Różycki) oraz Alfreda, komedopisarza i męża Heleny (Stanisław Kwaśniak).

Wydaje się, że najmniej trudności sprawiał Moliński. Krzysztof Różycki musiał nagromadzić tyle zewnętrznych „chwytnych” doświadczonego aktora — komediowego, aby dynamizm tych konkretnych żartów i dowcipów nie utonął w zbyt długim i owym „wesołym” i to zamierzenie się udało. Zresztą ciążyła tu i pomagała jednocześnie tradycja. Bardziej skomplikowaną sytuację wyjściową miał Stanisław Kwaśniak. Alfred bowiem jest u Rapackiego postacią „asympatyczną”, no cóż również komedopisarz, ale pozbawiona warsztatowo tego ładunku komiczności, którą posiadają Moliński, Hela, czy Zosia. Alfred jednak oprócz swego profesjonalnego autorstwa dźwierz sfer autora intrygi, jakby w niej nie uczestniczył, tylko był jej świadkiem. Mając na uwadze tak wiele zastrzeżeń Stanisław Kwaśniak postanowił postać ulukrować, aż do granic wytrzymałości, nadając jej inności walory komedii, ale nie Rapackiego. Z łoża innego teatru łatwiej jest obserwować i kierować intrygą. Czy efekt końcowy pozwolił na pełną akceptację tej propozycji. I tak, i nie, bowiem każdy zabieg sprowadza się do tego samego, pogłębienia literackich miazm i porażek aktorskich na czele z Jerzym Leszczyńskim, odtwórcą tej roli z 1932 r.

Co by się jednak nie rzekło, to wakacyjna atmosfera letnich miesięcy sprzyja tego rodzaju repertuariowi. A warto sobie także przypomnieć, że w czasach „Wesołych wspólników” Wincentego Rapackiego, w czasach Wrocławskich, Kiedrzyńskich latem otwierały swoje podwoje różne teatryki letnie, ogródki, które kultywowały lekkie repertuar. A może by tak pomyśleć o Teatrze Letnim w Łodzi, takim z prawdziwego zdarzenia, o Teatrze Komedii — i ta Muza nie powinna być pogardzana.

KAZIMIERZ A. LEWKOWSKI

Wincenty Rapacki (syn) „Wesoły wspólnik” krotowilla w trzech aktach. Reżyseria: Maria Kaniewska, scenografia: Lucja Kossakowska, premiera na scenie 7.15 29 maja 1976 r.

KOSMOS

Dalszy ciąg ze str. 1

osi. W ten sposób „Viking 1” został jakby zawieszony w jednym punkcie nad Marsem i to nad rejonem, w którym miał osiąść jego lądownik.

Krążąc wokół planety aparatura „Vikinga 1” dokonuje nieustannie badań. Przekazane przez sondę na Ziemię wyniki tych badań wzbudziły żywe zainteresowanie, gdyż okazały się być sprzeczne z dotychczas utrzymywymi teoriami. Z wyników tych badań wynika bowiem, że w atmosferze planety jest znacznie więcej wilgoci niż to do tej pory zakładano. Eksperci twierdzą też, że na podstawie badań przeprowadzonych przez aparaturę „Vikinga 1” w rejonie jego lądowania utrzymuje się mgła przygruntowa. Okazało się też, że w okolicach Bieguna Południowego planety stwierdzono około 80 procent szlachetnego gazu argonu oraz że temperatura w tym rejonie jest dużo niższa niż oczekiwano i że jest niższa od temperatury zestawienia się dwutlenku węgla, czyli niższa od minus 80 stopni C.

się z zachodu na wschód, podobnie jak niemal wszystkie sztuczne satelity Ziemi. Poza tym obraca się on wokół Marsa w ciągu 7 godzin i 30 minut w odległości 5 870 km od powierzchni planety. Na dodatek jeszcze Phobos w ciągu każdej doby zwiększa szybkość obrotu o 0,000 0001 sekundy, co odpowiada również „paradoksalnemu” sztucznych satelitów Ziemi, które zbliżając się do naszej planety, na skutek oporu atmosfery zaczynają się poruszać szybciej.

Te i inne zagadki Czerwonej Planety od dawna rozbudzały ludzką wyobraźnię. Nic więc dziwnego, że kiedy tylko wyprawy bezzałogowych sond kosmicznych stały się możliwe, skierowano je w stronę Marsa. Pierwszą sondę w kierunku Marsa wysłano w Związku Radzieckim w listopadzie 1962 roku. Kontakt z nią zerwał się 21 marca 1963 roku, kiedy znajdowała się w odległości 106 mln km od Ziemi. Amerykański „Mariner 5” minął Marsa w odległości 8 700 km 15 marca 1965 roku. Po raz pierwszy wtedy ludzie mogli obejrzeć zdjęcia powierzch-

stał przygotowany niezwykle dokładnie i starannie. I tak jest w rzeczywistości. Ale już pierwszy kontakt „Vikinga 1” z Czerwoną Planetą wykaże jak ogromne trudności czekają realizację tak starannie przygotowanego programu.

Program ten przewiduje, że na sygnał z Ziemi „Viking 1” rozdzieli się na dwie części. Jedną pozostanie na orbicie jako stacja kosmiczna, drugą rozpocznie operację lądowania. W przebiegu tej operacji przewidziano następujące etapy:

— na wysokości 244 km wejście w prędkością 16 tys. km na godzinę w marsjańską atmosferę,

— na wysokości 6,4 km otwarcie spadochronu,

— na wysokości 1,2 km odrzucenie spadochronu i zarodkowej osłony oraz włączenie silników hamujących, które zmniejszą prędkość lądowania do 8,8 km na godzinę,

— na wysokości 3 km nad powierzchnią Marsa, wylądowanie silników lądowania.

Operacja lądowania kierować będą komputery, każdy posiadający pamięć zawierającą 18 tys. słów po 24 bity. Pracować będzie jednakże tylko jeden komputer. Został on wybrany drogą eliminacji już w czasie lotu przez komputer zainstalowany w centrum kierowania lotem. Komputer ten przegaminował wszystkie komputery w obu „Vikingach” i wytypował sprawniejszy. Pozostała para komputerów — po jednym w każdej sondzie — pełnić będzie rolę komputerów awaryjnych.

Pamięć zawierająca 18 tys. słów, jakkolwiek może wydawać się niezwykle pojemna, wystarcza zaledwie na lot i lądowanie. Do kierowania lądowaniem potrzeba przeszło 5 tys. słów. Do kierowania manewrami, które będzie pobierało próbki gruntu marsjańskiego, potrzeba kilkuset słów. Tak więc, po lądowaniu z pamięci komputera wymagany zostanie zasób słów potrzebny do tej operacji, a wprowadzony na to miejsce inny, potrzebny do prowadzenia dalszych badań.

LĄDOWNIK „Vikinga 1” dokona po wylądowaniu kontroli swojej aparatury i przekaże na Ziemię wiadomość o gotowości do rozpoczęcia badań. Kontakt z Ziemią będzie utrzymywany bądź bezpośrednio, bądź za pośrednictwem stacji satelitarnej, czyli pozostałej na orbicie okołomarsjańskiej części „Vikinga 1”. W podobny sposób odbędzie się lądowanie i utrzymywanie łączności z „Vikingiem 2”. Z obu stacjami kosmicznymi łączność będzie utrzymywana do 25 listopada 1976 roku. Po tej dacie Mars i Ziemia znajdą się po przeciwnych stronach Słońca. Istnieje jednak możliwość nawiązania ponownej łączności z „Vikingiem 1” i „Vikingiem 2” z nastaniem 1977 roku.

PO WYLĄDOWANIU aparatura „Vikinga 1” przez trzy dni ma prowadzić badania składu atmosfery, sejsmologiczne i meteorologiczne. Będzie też badał skład gruntu marsjańskiego, jego właściwości magnetyczne oraz prowadzić obserwacje astronomiczne.

Trzeciego dnia po wylądowaniu „Viking 1” otrzyma nowe instrukcje. W trzy dni później zapadnie decyzja skąd pobrać próbki gruntu marsjańskiego. W dwa dni później komputer potwierdzi otrzymane instrukcje i ramie „Vikinga 1” rozpocznie swoje działanie. Próbkę gruntu marsjańskiego poddane zostaną skomplikowanym procesom, w

wyniku których ośrodki kierowania na Ziemi mają otrzymać odpowiedź na pytanie, czy w gruncie tym znajdują się mikroorganizmy?

Założono, że „Viking 2” wejdzie na orbitę okołomarsjańską 7 sierpnia 1976 roku, a osłędzie na planecie 4 września. Jeśli oczywiście nie zajdzie nic nieprzewidzianego. Z chwilą rozpoczęcia pracy przez aparaturę „Vikinga 2” ograniczony będzie kontakt z „Vikingiem 1”. Założono, że „Viking 1” ma pracować na Marsie przez 58 dni, wielokrotnie powtarzając swój program badań, a „Viking 2” — przez 62 dni. Ponieważ obie sondy wyposażone w ogniwa plutonowe, wykorzystujące reakcję rozpadu atomów, istnieje nadzieja, że będą one mogły pracować znacznie dłużej.

LĄDOWNIKI „Vikinga” wyposażone są w dwie kamery typu fascymile. Pracować one będą równocześnie, dając zdjęcia, na których można będzie identyfikować różne obiekty znajdujące się w odległości 100 metrów od lądownika. Będą one dawały obrazy przestrzenne, barwne, a także będą służyły do rejestrowania promieniowania podczerwonego.

Są to kamery telewizyjne działające na zupełnie innych zasadach niż stosowane na Ziemi. Nie dają one — tak jak telewizyjne kamery stosowane w przekazywaniu programów telewizyjnych lub w telewizji przemysłowej — od razu pełnego obrazu, lecz tworzą obraz punkt po punkcie w linii pionowej. Po zarejestrowaniu całej pionowej linii „obserwowanego” obiektu, kamera przesuwa się o określony kąt i rejestruje następną linię. Przy takiej pracy kamery trzeba czekać na przekazanie całego obrazu, a poza tym kamery te nie nadają się do rejestrowania ruchu. Aby jednak móc stwierdzić, czy na obserwowanym przez kamerę obszarze zachodzi jakiś ruch, wykonuje ona obraz tego obszaru co jakiś czas. Może ona też rejestrować obraz tylko wzdłuż jednej linii, ale powtarzając tę czynność wielokrotnie. W obu wypadkach poprzez porównanie otrzymanych obrazów można stwierdzić, czy na obserwowanym terenie nastąpiło przemieszczenie poszczególnych elementów wobec innych, czy też wobec lądownika.

„Viking 1” zaraz po wylądowaniu powinien przesyłać na Ziemię widok terenu, w którym wylądował. Obrazy te przekaże lądownik za pośrednictwem stacji satelitarnej. Dalsze obrazy będą rejestrowane na taśmie magnetycznej, przekazywane do krążącego na orbicie satelity, a następnie na Ziemię.

OPERACJE „Viking” przygotowane niezwykle starannie. Starano się przewidzieć możliwe wszystko, co mogłoby wydarzyć się kosmicznym sondom. Ale czy rzeczywiście przewidziano wszystko? Czy nie zdarzą się znowu jakieś nieprzewidziane okoliczności?

Odpowiedź na te pytania nadejdzie już niebawem prosto z Marsa. Z Czerwonej Planety przyjdą też inne informacje, które wprowadzą zwiększoną naszą wiedzę o Układzie Słonecznym, ale które nie wyjaśnią wszystkiego. A przy tym zachodzi tu duża prawidłowość: im więcej wiemy o innych planetach, im bogatsza staje się nasza wiedza o Układzie Słonecznym, tym więcej rodzi się pytań, wątpliwości, tym więcej problemów trzeba wyjaśnić.

Penetracja Marsa przez oba amerykańskie „Vikingi” pozwoli niewątpliwie wzbogacić naszą wiedzę o Czerwonej Planecie, przyczyni się do powstania nowych hipotez i teorii, ale Mars nadal będzie interesującym i intrygującym sąsiadem w Układzie Słonecznym. Wyniki penetracji „Vikingów”, jeśli ta penetracja uda się, jeśli obie stacje będą pracowały sprawnie, stanowiąc będzie postęp w poznaniu Kosmosu. Ale trzeba mieć świadomość, że jest to dopiero malutki kroczek, pierwsze stąpanie dziecka, które dopiero sposobu się do dalekich wypraw. Takie wyprawy choć niełatwe, są ciągle przed nami. Chłówek od dawna marzy o kosmicznych wyprawach i w miarę rozwoju nauki i techniki będzie dążył do realizacji tych marzeń. Tak postępuje już od lat.

22 czerwca 1967 roku z terytorium ZSRR wysłano kolejną stację kosmiczną „Salut 5”. 6 lipca 1967 roku wystartował w okołozemską przestrzeń kosmiczną statek radziecki „Sokuz — 21”, z pilk. Borisem Wołynowem i ppłk. inż. Witalijem Żolobowem na pokładzie.

3 czerwca 1967 roku „Washington Star” opublikował fragmenty raportu Charlesa Sheldona, który utrzymuje, że w ciągu najbliższych 4 lat na Księżycu powinien wylądować statek kosmiczny ZSRR. Zdaniem Ch. Sheldona w ZSRR prowadzi się prace nad olbrzymią rakieta nośną, która mogłaby wynieść w przestrzeń kosmiczną statek znacznie większy od „Apolla”, a także nad sprzętem, który pozwoliłby radzieckim kosmonautom przebywać na Księżycu od tygodnia do dwóch tygodni. Amerykańscy astronauta przebywali na Księżycu 3 dni.

Poznanie Kosmosu trwa.

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

„VIKING”

ATAKUJE MARS

Do tej pory uważano, że średnia temperatura na Marsie wynosi minus 35 stopni C, a na biegunach osiąga niekiedy minus 120 stopni C. Uważano również, że białe czapy na biegunach planety, powiększające i zmniejszające się w zależności od „marsjańskich pór roku”, tworzą się z zestalonego dwutlenku węgla, którego atmosfera planety zawiera znaczne ilości.

Mars jest od dawna przedmiotem zainteresowań ludzi. Od dawna nurtuje nas pytanie: czy jesteśmy sami w Kosmosie? W najśmielszych marzeniach o kosmicznych braciach lokowano ich właśnie na Czerwonej Planecie, wnikliwie obserwację której pozwalały na snuć hipotez o marsjańskich kanałach, tamtejszej roślinności. Swego czasu powstała nawet hipoteza, sformułowana przez radzieckiego uczonego J. S. Szkolowskiego o sztucznym pochodzeniu księżyców Marsa.

Mars posiada bowiem dwa księżyce: Deimos i Phobos. Są one stosunkowo niewielkie i poruszają się po orbitach przebiegających wzdłuż równika planety. Przy czym Phobos porusza

ch się z zachodu na wschód, podobnie jak niemal wszystkie sztuczne satelity Ziemi. Poza tym obraca się on wokół Marsa w ciągu 7 godzin i 30 minut w odległości 5 870 km od powierzchni planety. Na dodatek jeszcze Phobos w ciągu każdej doby zwiększa szybkość obrotu o 0,000 0001 sekundy, co odpowiada również „paradoksalnemu” sztucznych satelitów Ziemi, które zbliżając się do naszej planety, na skutek oporu atmosfery zaczynają się poruszać szybciej.

Te i inne zagadki Czerwonej Planety od dawna rozbudzały ludzką wyobraźnię. Nic więc dziwnego, że kiedy tylko wyprawy bezzałogowych sond kosmicznych stały się możliwe, skierowano je w stronę Marsa. Pierwszą sondę w kierunku Marsa wysłano w Związku Radzieckim w listopadzie 1962 roku. Kontakt z nią zerwał się 21 marca 1963 roku, kiedy znajdowała się w odległości 106 mln km od Ziemi. Amerykański „Mariner 5” minął Marsa w odległości 8 700 km 15 marca 1965 roku. Po raz pierwszy wtedy ludzie mogli obejrzeć zdjęcia powierzch-

stał przygotowany niezwykle dokładnie i starannie. I tak jest w rzeczywistości. Ale już pierwszy kontakt „Vikinga 1” z Czerwoną Planetą wykaże jak ogromne trudności czekają realizację tak starannie przygotowanego programu.

Program ten przewiduje, że na sygnał z Ziemi „Viking 1” rozdzieli się na dwie części. Jedną pozostanie na orbicie jako stacja kosmiczna, drugą rozpocznie operację lądowania. W przebiegu tej operacji przewidziano następujące etapy:

— na wysokości 244 km wejście w prędkością 16 tys. km na godzinę w marsjańską atmosferę,

— na wysokości 6,4 km otwarcie spadochronu,

— na wysokości 1,2 km odrzucenie spadochronu i zarodkowej osłony oraz włączenie silników hamujących, które zmniejszą prędkość lądowania do 8,8 km na godzinę,

— na wysokości 3 km nad powierzchnią Marsa, wylądowanie silników lądowania.

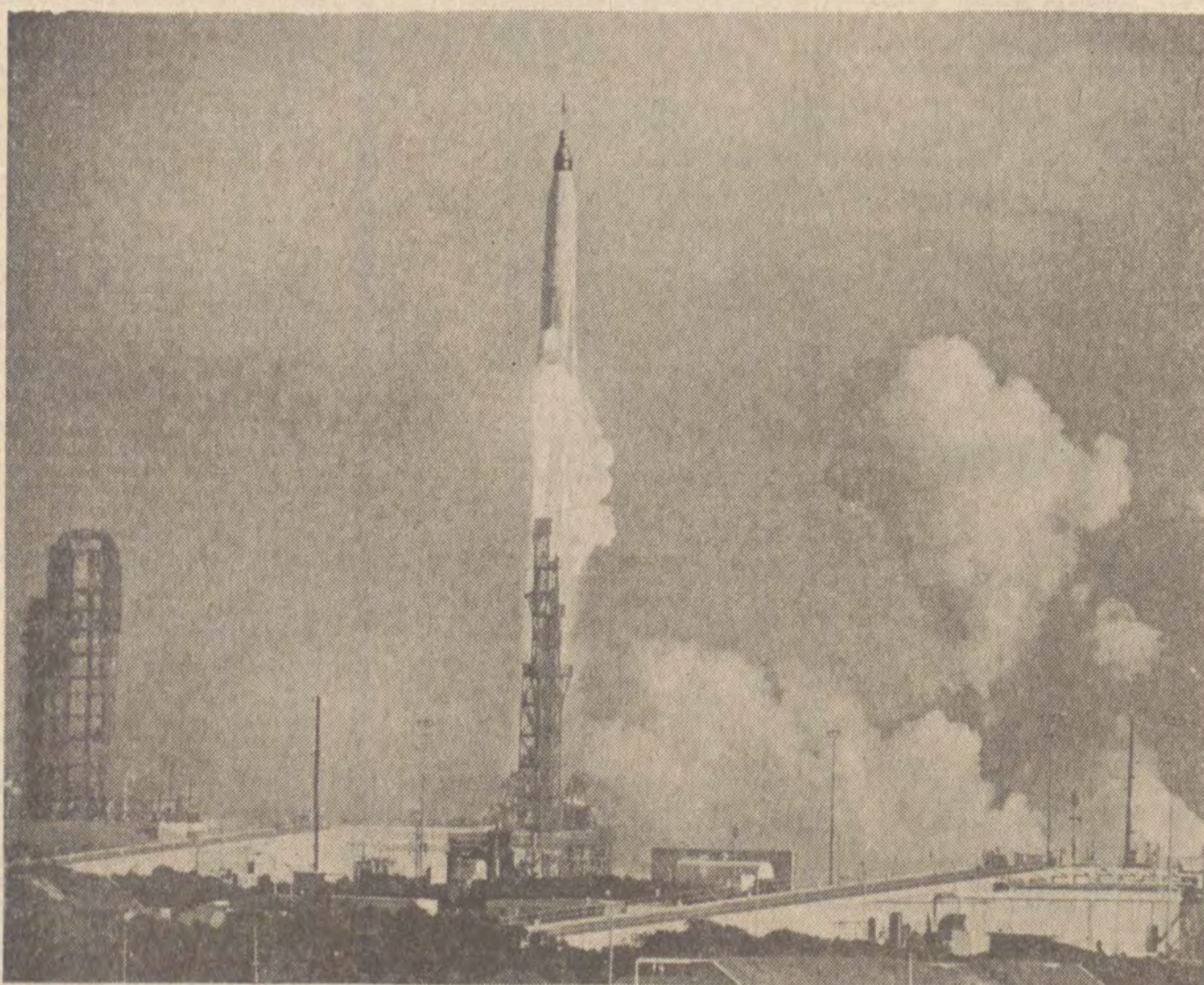
Operacja lądowania kierować będą komputery, każdy posiadający pamięć zawierającą 18 tys. słów po 24 bity. Pracować będzie jednakże tylko jeden komputer. Został on wybrany drogą eliminacji już w czasie lotu przez komputer zainstalowany w centrum kierowania lotem. Komputer ten przegaminował wszystkie komputery w obu „Vikingach” i wytypował sprawniejszy. Pozostała para komputerów — po jednym w każdej sondzie — pełnić będzie rolę komputerów awaryjnych.

Pamięć zawierająca 18 tys. słów, jakkolwiek może wydawać się niezwykle pojemna, wystarcza zaledwie na lot i lądowanie. Do kierowania lądowaniem potrzeba przeszło 5 tys. słów. Do kierowania manewrami, które będzie pobierało próbki gruntu marsjańskiego, potrzeba kilkuset słów. Tak więc, po lądowaniu z pamięci komputera wymagany zostanie zasób słów potrzebny do tej operacji, a wprowadzony na to miejsce inny, potrzebny do prowadzenia dalszych badań.

LĄDOWNIK „Vikinga 1” dokona po wylądowaniu kontroli swojej aparatury i przekaże na Ziemię wiadomość o gotowości do rozpoczęcia badań. Kontakt z Ziemią będzie utrzymywany bądź bezpośrednio, bądź za pośrednictwem stacji satelitarnej, czyli pozostałej na orbicie okołomarsjańskiej części „Vikinga 1”. W podobny sposób odbędzie się lądowanie i utrzymywanie łączności z „Vikingiem 2”. Z obu stacjami kosmicznymi łączność będzie utrzymywana do 25 listopada 1976 roku. Po tej dacie Mars i Ziemia znajdą się po przeciwnych stronach Słońca. Istnieje jednak możliwość nawiązania ponownej łączności z „Vikingiem 1” i „Vikingiem 2” z nastaniem 1977 roku.

PO WYLĄDOWANIU aparatura „Vikinga 1” przez trzy dni ma prowadzić badania składu atmosfery, sejsmologiczne i meteorologiczne. Będzie też badał skład gruntu marsjańskiego, jego właściwości magnetyczne oraz prowadzić obserwacje astronomiczne.

Trzeciego dnia po wylądowaniu „Viking 1” otrzyma nowe instrukcje. W trzy dni później zapadnie decyzja skąd pobrać próbki gruntu marsjańskiego. W dwa dni później komputer potwierdzi otrzymane instrukcje i ramie „Vikinga 1” rozpocznie swoje działanie. Próbkę gruntu marsjańskiego poddane zostaną skomplikowanym procesom, w



U PRZYJACIOŁ

Szeroko zakrojony program rozwoju kultury i sztuki, wytyczony przez KPCz, jako część składowa programu budownictwa socjalistycznego, stał się inspirującą siłą dla artystów, którzy sens swej twórczości znajdują w aktywnej współpracy z klasą robotniczą i wszystkimi ludźmi pracy. Nowy Związek Czeskich Artystów Plastyków, powstały w 1972 roku, przyjął program działania, którego głównym celem jest twórczość plastyczna, opierająca się na stosowaniu metod realizmu socjalistycznego; twórczość bogata i różnorodna, wielokształtna i szeroko oddziaływająca środkami wyrazu sztuki realistycznej, związanej z życiem, dziełem i celem człowieka epoki socjalistycznej.

W dniach od 7 do 20 lipca 1976 roku w Karlowych Warach odbywa się XX Międzynarodowy Festiwal Filmowy, pod hasłem „O szlachetne stosunki między ludźmi — o trwałą przyjaźń między narodami”. Festiwal obchodzi podwójny jubileusz, jest to XX MFF w Czechosłowacji, miało także 30 lat, kiedy w Mariáňskich Lázních odbył się pierwszy międzynarodowy festiwal. Celem festiwalu jest prezentacja i ocena najlepszych dzieł, które swoją artystyczną treścią i formą w duchu hasła festiwalu przyczyniają się do rozwoju kinematografii. W programie Festiwalu znalazły się: konkurs filmów fabularnych, symposium oraz wolna trybuna, stwarzająca możliwość wymiany poglądów pomiędzy twórcami filmowymi, teoretykami, dziennikarzami i producentami. Symposium festiwalowe poświęcone jest kinematografii rozwijającej się krajów Afryki, Azji i Ameryki Łacińskiej. Każdy kraj biorący udział w festiwalu może zgłosić jeden film, który nie brał udziału w konkursach innych międzynarodowych festiwali. Oceny filmów dokona międzynarodowe jury, które przyzna Wielką Nagrodę — „Kryształowy Globus”, sześć nagród głównych, Nagrodę Róży z Lidie oraz po dwie nagrody za rolę kobiecą i męską. W bieżącym roku ilość nagród zwiększy się o Nagrodę Jubileuszową XX MFF i Specjalną Nagrodę Jury. W ramach festiwalu organizuje się również FILMORUM, tj. projekcje, sprzedaż i kupno filmów z całego świata.

W pobliżu mostu Karola mieści się budynek słynnego Klementinum — Państwowej Biblioteki Naukowej. Mieści tu m. in. jedną z największych bibliotek specjalistycznych, znana na całym świecie pod nazwą „Slovanska knihovna”. Jest to zbiór liczący ponad 560 tysięcy woluminów, książek, czasopism oraz gazet w języku rosyjskim, ukraińskim, polskim, bułgarskim, serbo-chorwackim, macedońskim, słoweńskim i łukajskim. Biblioteka została założona w roku 1919 i stała się unikalną w świecie placówką kulturalną. Szczególnie wielkie uznanie zdobyły sobie zbiory piśmiennictwa starosłowiańskiego. W oddziale „białych kruków” znajdują się także cenne zbiory literatury staropolskiej oraz wiele książek z XVIII i XIX w.

Wydawnictwo PRESS FOTO zapoczątkowało przed kilku laty wydawanie serii starych czeskich rękopisów, inkunabułów, kompozycji muzycznych i reprodukcji. Te faksymilia należące do najdroższych i nawiązańszych książek czeskich noszą wspólną nazwę „Cimella bohemia” — klejnoty czeskie. W br. wydawnictwo opublikowało kolejne pozycje z tej serii, m. in. „Kodeks wyszehradski”, kopię oryginału z r. 1085. Wspaniałe kolory, wierne reprodukcje świadczą o wysokim kunszcie ówczesnej techniki pisania ksiąg. Dalej, dzieło Kopernika „De revolutionibus...”, drugie wydanie z uwagami astronoma praskiego Tycho de Brahe oraz pierwsza drukowana książka czeska „Kronika trojańska”, partytury symfonii Dvoráka „Z nowego świata”; dzieła Kamenskigo, portrety Mozarta i Beethovena.

W Gottwaldowie na Morawach odbył się pod egidą Ministerstwa Kultury I-szy międzynarodowy festiwal młodych artystów koncertowych pn. „Talentum 76”. W dwutygodniowej imprezie zorganizowanej przez Państwową Orkiestrę Symfoniczną w Gottwaldowie i agencję PRAGOKONCERT wzięło udział przeszło dwudziestu solistów i dyrygentów z Bułgarii, NRD, Polski, Węgier, ZSRR i Czechosłowacji.

W miarę postępu nauki i techniki zwiększa się oddziaływanie człowieka na otaczające środowisko i w konsekwencji następuje nieraz naruszenie równowagi w przyrodzie. Te koszty rozwoju cywilizacji bada się teraz coraz uważniej i wyraża odpowiednie wnioski. Ostatnio spór wśród uczonych wywołuje nie wyjaśniony jeszcze do końca problem, który by można zamknąć w jednym, ale groźnie brzmiącym zdaniu: „Strefa” ozonowa otaczająca Ziemię jest zagrożona zniszczeniem wskutek masowego używania rozpylaczy aerozolowych.

Teoria ta stworzona w 1974 roku przez dwóch amerykańskich uczonych, S. Rowlanda i M. Molina, postawiła ekologów w „stan gotowości”. Oba uczeni twierdzą — czytamy w artykule zamieszczonym w „New York Times Magazine” — iż gazy inercyjne używane w rozpylaczach aerozolowych unoszą się do stratosfery i oddziałują tam na ozon, niszcząc tym samym „ekran”, zatrzymujący śmiertelne promienie ultrafioletowe promienie Słońca. Gdyby nie osłaniająca warstwa ozonu, to promienie ultrafioletowe docierałyby do powierzchni naszej planety w o wiele większej ilości niż obecnie. To z kolei pociągnęłoby za sobą katastrofalne następstwa, jak na przykład zwiększenie liczby zachorowań na raka skóry. Uczeń ostrzegają, że jeśli nadal będą stosowane aerozole w tak masowej skali, poczynając od mycia psów, a kończąc na rozpylaniu aerozolu dla usunięcia zapachu pod pachami, to na przykład tylko w samych Stanach Zjednoczonych należy oczekiwać o 10 tysięcy więcej, w ciągu roku, zachorowań na raka skóry, niż obecnie.

Niektórzy specjaliści uważają, że uszkodzenie warstwy ozonu przedstawia nie tylko bezpośrednie zagrożenie dla zdrowia ludzi, lecz może również pociągnąć za sobą poważne zmiany klimatyczne i spowodować niedostatek produktów żywnościowych. Uczeń twierdzą nawet, że opakowanie z piany aerozolowej do włosów — obrazowo mówiąc — może się stać pewnego dnia swego rodzaju „mechanizmem spustowym” nowego okresu lodowcowego.

Ozon utrzymuje się w powietrzu w bardzo nieznacznej ilości: jedna część ozonu na cztery miliony części powie-

trza. Powietrze zawiera znacznie więcej azotu, bo aż 78 procent i tlenu — 20,9 procent. Nawet dwutlenku węgla i gazów bezwładnych jest w powietrzu dużo więcej, niż ozonu. Gazy te wraz z azotem i tlenem tworzą troposferę, najniższą warstwę atmosfery czyli powietrze, którym oddychamy.

Ozonu nie spotykamy w większych ilościach do wysokości 16 kilometrów nad powierzchnią Ziemi, na której to wysokości zaczyna się następna warstwa atmosferyczna zwana stratosferą. Jeśli cały ozon ścisnąć z siłą równą przyciąganiu na powierzchni Ziemi, to grubość otrzymanej warstwy nie będzie większa od grafitu ołowka.

Od wieków myśl filozofów absorbowala wielostronna zależność między powietrzem i życiem na Ziemi. Gdyby na przykład powietrze miało inny skład, nie byłoby ani ognia, ani dźwięku, ani życia w takim kształcie, w jakim je znamy. I naturalnie nie byłoby czterech miliardów istnień ludz-

kich oddychających tlenem. Nie byłoby też tego wielopostaciowego świata roślinnego i zwierzęcego, od którego zależy życie człowieka. Bez powietrza Ziemia byłaby wypalona przez Słońce lub zryta kraterami meteoritów, jak zryta jest Księżyc. Nie byłoby wiatru, niebo niezdolne do rozpraszania promieni słonecznych, byłoby czarne i groźne.

Angielski chemik, James Lovlock, twierdzi, że powietrze i jego komponenty zostały stworzone przez żywe organizmy w imię ich własnego istnienia, a nie w imię czegoś innego. Na przykład, twierdzi uczeni, „zawartość” tlenu w powietrzu nie przypadkiem wynosi 20,9 procenta, wyższa bowiem koncentracja tlenu pociągnęłaby za sobą pustoszące pożary od wyładowań atmosferycznych, a niższa byłaby za mała dla rozwoju życia na naszej planecie.

Choć ozon zalicza się do najmniej rozpowszechnionych elementów tego za-
dziwiającego systemu, właśnie on, jak się okazuje, dzięki swojej unikalnej roli w „kontrolowaniu” ilości rakotwórczych promieni ultrafioletowych docierających do powierzchni naszej planety, odgrywa ogromną rolę w życiu człowieka i świata zwierzęcego. Ozon odgrywa również ważną rolę w naturalnym cyklu życia roślinnego, głównie morskiego planktonu unoszącego się na powierzchni oceanów, gdzie następuje zetknięcie powietrza i wody.

Rośliny te są jednym z ogniw łańcuchów pokarmowych wód, utrzymujących istnienie życia i są źródłem dużej części tlenu utrzymującego się w atmosferze (około 20 miliardów ton). Wstępne badania świadczą, iż podwyższona ultrafioletowa radiacja Słońca może tłumić funkcje reprodukcji planktonu, naruszając tym samym źródła

co jest równoznaczne ze znalezieniem igły w tysiącu wagonach siana. Dalsze badania uczonych wykazały, że freon nie ulega zniszczeniu. Jeśli go rok temu wypuszczono z opakowania z dezodorantem, to z pewnością znajduje się gdzieś w atmosferze.

Stwierdzono dalej, że freon może zachować swoją trwałość przy powierzchni Ziemi i jeśli zbierze się dostateczna ilość jego molekuł, to wznoszą się one aż do stratosfery. Tutaj promienie ultrafioletowe rozszczepiają freon na cząstki z wydzieleniem chloru oraz innych elementów. Chlor „atakuję” ozon i w przeciągu licznych sekund zachodzi reakcja, w której każda molekula chloru unieszkodliwia 10 tysięcy molekuł ozonu.

Rowland i Molina opublikowali swoją informację w brytyjskim tygodniku naukowym. Wywołała ona echo w całym świecie. Uczeń nie tylko wskazywali na niebezpieczeństwo jakie grozi warstwie ozonu, lecz także na podstawie obliczeń wykonanych na komputerze ostrzegali, że za 15 lat warstwa ozonu osłaniająca Ziemię może się zmniejszyć w granicach od 7 do 13 procent, co grozi poważnymi konsekwencjami. Inni uczeni twierdzą nawet, że jeżeli produkcja freonu będzie się nadal odbywać w tak szybkim tempie jak teraz, to za 15 lat warstwa ozonu zmniejszy się od 7 aż do 18 procent! A co gorsza — jeśli będzie się ona zwiększać o 10 procent rocznie, jak to było na przestrzeni ostatnich kilku lat, to warstwa ozonu zmniejszy się jeszcze bardziej. Ale i to nie wszystko, bo nawet jeżeli produkcja freonu zostanie w ogóle zaniechana, to i tak w ciągu 5—10 lat będzie następował ubytek warstwy ozonu, w wyniku trwającej reakcji z freonem już znajdującym się w warstwie ozonu, lub napływającym do niej teraz.

Liczyby te wywołały ożywione spory co do terminu nastania „aerologicznego Sądowego Dnia”. I tak na przykład amerykański uczeni, D. Davis, twierdzi, że reakcja chloru i ozonu przebiega w warunkach stratosferycznych wolniej niż podczas eksperymentów laboratoryjnych. Uważa on, iż chlor wchodzi w reakcję z metanem, obecnym w stratosferze, w wyniku czego tworzy się kwas solny, który spada z deszczem na Ziemię. Dlatego tylko ograniczona ilość chloru może wchodzić w reakcję z ozonem i w konsekwencji — uważa uczeni — termin nastąpienia „aerologicznego Dnia Sądowego” przedłuży się dwu- lub trzykrotnie.

Tak czy inaczej, uczeni twierdzą, że istnieje obecnie dostateczne dowody na to by sądzić, iż teoria osłabienia warstwy ozonu jest prawdziwa i że już dziś należy podjąć energiczne działania zapobiegawcze.

JERZY CZECH

Koszty rozwoju cywilizacji

AEROZOLE ZAGRAŻAJĄ ŚWIATU

kich oddychających tlenem. Nie byłoby też tego wielopostaciowego świata roślinnego i zwierzęcego, od którego zależy życie człowieka.

Bez powietrza Ziemia byłaby wypalona przez Słońce lub zryta kraterami meteoritów, jak zryta jest Księżyc. Nie byłoby wiatru, niebo niezdolne do rozpraszania promieni słonecznych, byłoby czarne i groźne.

Angielski chemik, James Lovlock, twierdzi, że powietrze i jego komponenty zostały stworzone przez żywe organizmy w imię ich własnego istnienia, a nie w imię czegoś innego. Na przykład, twierdzi uczeni, „zawartość” tlenu w powietrzu nie przypadkiem wynosi 20,9 procenta, wyższa bowiem koncentracja tlenu pociągnęłaby za sobą pustoszące pożary od wyładowań atmosferycznych, a niższa byłaby za mała dla rozwoju życia na naszej planecie.

zaopatrzenia w pokarm innych istot, w ostatecznym rachunku także człowieka.

Przy pomocy specjalnie skonstruowanego przyrządu Lovlock zaczął poszukiwać w atmosferze cząstek sztucznego pochodzenia i wykrył obecność molekuł freonu. Freon, syntetyczny związek chloru, fluoru i węgla, jest używany do różnych celów od 30 lat, jako czynnik nietoksyczny i niepalny. Gaz ten okazał się następnie idealnym rozpylaczem aerozolowym. Z czasem opracowano dwa podstawowe rodzaje freonu: freon 11 i freon 12. Właśnie freonu 11 używa się jako rozpylacza aerozolowego, a także jako środka wywołującego pianę. Freonu 12 używa się częściej do chłodziarek i urządzeń klimatyzacyjnych.

Przyrząd angielskiego uczonemu pozwolił na wykrycie około 30 cząstek freonu w trylionie cząstek powietrza,

◆ W KIERUNKU PEŁNIEJSZEJ INTEGRACJI ◆ DYMISJA FRANKISTOWSKIEGO PREMIERA ◆ ZWYCIĘSTWO, KTÓRE NIE KOŃCZY WALKI

Berlin po raz drugi w krótkim czasie był miejscem ważnego spotkania. Wkrótce po konferencji partii komunistycznych i robotniczych Europy w stolicy NRD odbywała się XXX sesja Rady Wzajemnej Pomocy Gospodarczej. Po trzech dniach intensywnych obrad przyjęto jednomyślnie uchwałę, z jednej strony oceniającą wyniki współpracy gospodarczej i naukowo-technicznej oraz przebieg realizacji kompleksowego programu socjalistycznej integracji ekonomicznej, z drugiej zaś wytyczającą najważniejsze dziedziny działalności Rady na bieżące pięćlecie i lata następne.

W dokumencie tym przypomina się, że wspólnymi siłami rozpoczęto budowę dużych obiektów bazy surowcowo-paliwowej, energetycznej i materiałowej oraz zawarto wiele multilateralnych i bilateralnych porozumień o współpracy gospodarczej. Osiągnięto również duży postęp w zakresie specjalizacji i kooperacji produkcyjnej. Powstały nowe organizacje, skupiające kraje członkowskie.

Te dokonania pozwalają opracować kierunkowe programy współpracy w podstawowych gałęziach produkcji materialnej na okres 10—15 lat, co równocześnie służyć będzie wydatnemu pogłębieniu i rozszerzeniu procesów integracyjnych.

Kraje członkowskie RWPG poświęciły dużo uwagi także współpracy gospodarczej z innymi krajami, opowiadając się za usunięciem różnorodnych dyskryminacji i niesprawiedliwości.

Aktem końcowym sesji było podpisanie protokołu z obrad, pod którym w imieniu Polski złożył podpis Piotr Jaroszewicz.

W komunikacie o XXX sesji, który szczegółowo omawia przedmiot obrad, czytamy m. in.:

„Sesja wyraża niezłomne przekonanie, że realizując określone przedsięwzięcia, zmierzające do szybkiej realizacji programu kompleksowego, kraje członkowskie RWPG odnośno nowe wielkie sukcesy w rozwoju społeczno-gospo-

darczym, w dalszym rozszerzaniu i pogłębianiu wzajemnej współpracy, na gruncie socjalistycznych zasad między równoprawnymi braćmi państwami”.

Bilans osiągnięć społeczno-gospodarczych krajów RWPG w minionym okresie oraz dalsze zamierzenia uzgodnione w Berlinie, dają świadectwo twórczych sił socjalizmu i pozycji naszej wspólnoty gospodarczej na arenie międzynarodowej. Stosunki między krajami członkowskimi są przykładem więzi gospodarczych nowego typu, opartych na wzajemnych korzyściach.

Zmieniły teraz temat i przeniesły się na Półwysep Iberyjski, gdzie dwa wydarzenia ostatnich dni zasługują na szczególną uwagę.

Jednym z nich jest zmiana szefa rządu hiszpańskiego. Aby docenić znaczenie tego faktu przypomnijmy, że po śmierci gen. Franco wielu jego zwolenników łączyło nadzieje z premierem Ariasem Navaro, który jeszcze za życia dyktatora kierował

pracami gabinetu. Jego zdymisjonowanie zamyka więc erę frankistowską i może ułatwić oczekiwane reformy w Hiszpanii, do których dotychczasowy premier nie kwapił się.

Nowy gabinet utworzył Adolfo Suarez, a w jego skład weszli przede wszystkim przedstawiciele Ruchu Narodowego. Jednakże ocenia się, że decydujący głos w rządzie będzie miała prawica katolicka, nastawiona reformistycznie, co — w zamysle króla Juana Carlosa — mogłoby otworzyć drogę do negocjacji z niektórymi partiami opozycji demokratycznej.

Czy to się uda — pokaże czas. Pierwszą reakcją opozycji jest krytyczna, gdyż jej zdaniem nowy gabinet nie daje jeszcze gwarancji przeprowadzenia niezbędnych reform. Mimo to zmiana rządu zasługuje na uwagę i do tematu przyjdzie nam z pewnością wielokrotnie powracać.

Drugim wydarzeniem na Półwyspie Iberyjskim były wybory prezydenta Portugalii. Jak można było oczekiwać — wygrał je gen. Ramalho Eanes, cieszący się poparciem trzech z czterech głównych partii: socjalistów, ludowych demokratów i prawicowego Centrum Demokratyczno-Społecznego. Komuniki, jak już pisaliśmy, wystawili swoją kandydaturę, nie licząc zresztą na jej pełniejsze poparcie.

Nowy prezydent już wielokrotnie podkreślał, że w swym działaniu będzie kierował się literą i duchem konstytucji, która w przypadku Portugalii jest bardzo szczegółowa. Obserwatorzy życia politycznego w Lizbonie zastanawiają się, czy tak będzie w praktyce, gdyż prawica, która udzieliła poparcia generałowi, zapewne wywierać będzie na niego silne naciski. Tak więc choć Portugalia wkracza w nowy etap nie nie zapowiada końca konfrontacji głównych sił politycznych tego kraju. Ograniczenie wpływu prawicy uzależnione jest przede wszystkim od połączenia sił lewicy, dotąd jednak rozproszonych.

W. ŚLAWSKI

W KRAINIE UŚMIECHU

Gdybyśmy brali pod uwagę wyłącznie satyryków, mogłoby się okazać, że w Polsce bardzo trudno o wesołych ludzi. Gdybyśmy jeszcze do tego czytali wyłącznie ich teksty, sądzić by wypadało, że u nas nie ma się z czego śmiać. Na szczęście nie jest tak źle. Wesoły duch w narodzie wcale nie zaginął, liczne rzesze przyszłościowych Kowalskich siedzą sobie w rozmaitych instytucjach i rozweselały nas wcale nie zabiegając o godziwe honoraria. Ten bezinteresowny ród wesołków najpewniej wcale nie czyta „Szpilek”, może czasem „Karuzelę”, a jednak podnosi nam na niebysze wyżyny humor. W pierwszym rzędzie — humor czysto językowy.

Nie tak dawno temu można było przeczytać w „Głosie Wybrzeża” pismo Admistracji Domów Mieszkaniowych do lokatora. Pismo w sprawie podłogi. Pewien nieszczęsny lokator, najwyraźniej pozbawiony poczucia humoru, próbował wytłumaczyć adresemowi, że mu bardzo krzywo ułożono podłogę i trzeba wobec tego ułożyć ją prosto. Nasz niezawodny Kowalski nadesłał poszkodowanemu taką odpowiedź:

„Polożyliśmy u Ob. podłogowych stropów metrów 24 kwadratowych, na które była zgodność żony użytkownika lokalu, aktualnie będąca w stanie odmiennym i nerwowa. Wywołało to awantury z naszymi pracownikami, co nie sprzyjało podłodze, która przez to stała się krzywa. Nasza siła przerobowa nie pozwala nam nie dostrzegać takich faktów, co utrudnia nam pracę”.

Jest to humor typowy dla półnalfabety, którym — jak widać — powierza się jeszcze od czasu do czasu utrzymywanie kontaktów z normalnymi ludźmi. No, ale nie tylko półnalfabeci nas rozwesela. Biją ich na głowę przedstawiciele elitarnych i wyzbielowanych środowisk, którzy nie zajmują się żadnymi innymi sprawami prócz swoich. Ich humor jest tego samego asortymentu, ale w znacznie wyższym gatunku. Do redakcji niektórych pism stołecznych, poświęconych sprawom kultury i twórczości artystycznej, wpłynęły ostatnio jednakowo brzmiące listy następującej treści:

„Eliminacja inspiracji w sztuce. Biuro Poezji Andrzej Patrum. Czas teraźniejszy w sztuce wyklucza domniemywanie znaczeń podpierających się rolą emerytów. Liczebnik główny języka awangardy maximum art. AD 1976 nie może stanowić czasownika posilkowego w rękach chcących zinentaryzować na swoje conto dokonania tych twórców, którzy wyzwolili od spłaki z pieniądzem za swoją IGNO-RANDZKA publicystyka — czynia światowe życie polskiej twórczości”.

Nasz Kowalski z adresem, trzeba mu to przyznać, próbował jakoś uchwycić związek pomiędzy ciążą i podłogą, natomiast Andrzej Patrum plecie pocieszne androny bez żadnego związku.

Jak zawsze kwitnie nam w kraju swoisty humor ludzi, którzy lubią ogłaszać się w gazetach. I tak: Stanisława Urbanika z Ostrowa Wielkopolskiego zamieściła na łamach „Życia Warszawy” takie ogłoszenie:

„Kupię pilnie maszynę do haftu fluzji”.

Różne mieliśmy i może mieć będziemy fluzje, ale haftowane? Cóż to za postęp w tej dziedzinie naszego życia duchowego!

Natomiast w „Dzienniku Bałtyckim” ogłosiło Przedsiębiorstwo Handlu Spożywczego z Gdańska, że odstąpi nieodpłatnie pałac w Rynkuwce, używany co prawda, ale w dobrym stanie. Jest to humor Kowalskich z gatunku politycznych. No, bo co dużo mówić, u nas teraz każdy może dostać pałac za darmo. Nie, to co za sanacja!

Swoisty humor prezentują także i autorzy książek bez których trudno nam się obejść. Zajrzymy na chwilę do nowej, kieleckiej książki telefonicznej. W rubryce — warszaty — znajdziemy Dom Kultury, pod nazwą — spółdzielnię — ukrywa się nie tylko Straż Pożarna, ale i Stowarzyszenie Demokratyczne. Wytwórnie lodów umieszczono w grupie Zjednoczeń Przemysłowych, natomiast jedną z kieleckich redakcji, uznał autor książki telefonicznej za Rejon Eksploatacji Kamienia. I to może być prawda, sam słyszałem od jednego redaktora z Kielc, że idzie mu jak z kamienia. Można się to było uśmiać, ale śmiech szybko w złość się zamienia, kiedy przychodzi człowiekowi szukać odpowiedniego numeru w tak przygotowanej książce, mającej w końcu ułatwiać nam życie.

Na inny pomysł, ale także komplikujący wykonywanie koniecznych czynności, tym razem zawodowych, wpadł pewien prezes Ochotniczej Straży Pożarnej w kieleckim. Wydał on na piśmie takie oto zarządzenie:

„Druhowie, którzy nie płacą składek członkowskich, nie będą dopuszczani do gaszenia pożarów”.

Duże ożywienie wywołują nasi humorysty na niwie kulturalno-rozrywkowej. Niedawno ostrzegła „Gazeta Współczesna” swoich czytelników przed słuchaniem programów rozrywkowych. Otóż zdarzyło się, że w Białymstoku występował duet śpiewaczy Wołkiewiczów w bombowym — rzecz prosta — repertuarze pod nazwą — „Wiosenne spotkanie”. Wielu widzów i słuchaczy chciało opuścić salę przed końcem, wykorzystując prawo dysponowania swoją osobą, zagwarantowane przez Konstytucję. Ale nie mogło, gdyż drzwi strzegła z dużym powodzeniem przez Konstytucję. Ale nie mogło, gdyż drzwi strzegła z dużym powodzeniem przez Konstytucję. Ale nie mogło, gdyż drzwi strzegła z dużym powodzeniem przez Konstytucję.

Czy masz Fiat — czy też nie
Nie rozpychał nigdzie się.
Lepiej skromnym zawsze bądź,
Nie podrywaj cudzych żon.

Nigdy nie kłam — prawdę mów,
Nie pal, nie pij — będziesz zdrow.
Swych petentów załatw w mig,
Nie popieraj żadnych klik.

Z dużym poczuciem humoru bywa traktowana nasza nadzieja i nasza przyszłość, inaczej mówiąc — młodzież. Do niedawna panował u nas zwyczaj w świecie sportowym, że zwycięska drużyna siatkarzy, piłkarzy, czy też koszykarzy otrzymywała w nagrodę puchar pana prezesa, przewodniczącego, prezydenta, federacji, ligi, towarzysza, niepotrzebne skreślić. Cóż jednak grupie chłopców po jednym pucharze? W tym roku, a dzieło się to w Kielcach, mistrzowie otrzymali — każdy po kieliszku, natomiast karafka była wspólna. Wychowawcy doszli do słusznego przekonania, że chociażby ze względu na higienę osobistą, każdy zawodnik powinien dysponować swoim kieliszkiem, karafka natomiast może być wspólna. No i chwila takim dowcipniścom, dzięki nim bowiem, zabieramy się do uporządkowania obyczajów w niektórych dziedzinach sportu.

Przez długi czas nie było wiadomo, że odkrywcą gwiazdy Nowej jest uczeń z Rozbora koło Przeworska — Waldemar Puszkarczyk. Zaraz po odkryciu Nowej chłopiec wystosował odpowiedni list ekspresowy do Polskiego Towarzystwa Miłośników Astronomii w Krakowie. Zawiadomili o swoim odkryciu, podali dokładne parametry, nakleili znaczek za 6 złotych i 50 groszy, zgodnie z życzeniami poczty, podali dokładny adres, numer kodu, słowem uczynili grzeczność wszystko to, czego od obywatela wymaga poczta. Ale nasz kochany Kowalski z poczty posłał list ciu-pasem do Filadelfii, ponieważ nie słyszał o Krakowie. W Filadelfii słyszano, odeślano więc list do Krakowa, ale tam znowu o Krakowie nie słyszano, no i list wrócił do kolegi Waldemara. W tym czasie inni zdolni chłopcy wykryli Nową, a ich list jakoś doszedł do Krakowa. W ten sposób kariera Waldemara, jako odkrywcy została poważnie zagrożona. A wszystko dlatego, że Kraków nadal jest miastem mało znanym.

Wyobraźmy sobie teraz taką sytuację: ambitny chłopiec wykrywa nieznaną stałkę kosmiczną lecącą ku Ziemi może z tej, a może z tamtej galaktyki, może w celach pokojowych, żeby współistnieć, a może w celach agresywnych. Chłopiec, rzecz prosta, zawiadomił Kraków. Co będzie, jeśli historia się powtórzy?

WIESŁAW JAŻDŻYŃSKI

Akcja przetrwania wysokiej rangi funkcjonariuszy nazistowskich poza granicę Niemiec, a zwłaszcza do Ameryki Południowej, prowadzona po wojnie przez różne organizacje „pomocy dla uchodźców”, kryła w sobie dość istotną zagadkę. Skąd czerpano fundusze na jej prowadzenie? Kto finansował ową akcję? Żadna ze wspomnianych organizacji nie dysponowała zbyt wielkimi sumami, a przecież kosztach działalności były ogromne biorąc pod uwagę rozmiary i zasięg akcji. Pieniądze jednak były. Miał je między innymi biskup Alois Hudal, który kierował akcją pomocy dla „uchodźców z Niemiec” na terenie Watykanu. Fundusze, którymi rozporządzał, pochodzące rzekomo z „zasobów prywatnych”, musiały być w sumie niebagatelne, skoro jego działalność rozwijała się tak pomysłnie.

Dopiero wiosną 1963 roku uchylono rąbka tajemnicy, gdy władze włoskie aresztowały właściciela pewnej wielkiej firmy zajmującej się eksportem i importem metali kolorowych. Nastąpiło to na skutek informacji otrzymanej z Wiednia, wskazującej, iż człowiek ten jest prawdopodobnie od dawna poszukiwanym hitlerowskim zbrodniarzem wojennym. Jak się okazało, chodziło o doktora Ericha Rajakowitscha, alias Ericha Raja, byłego adwokata z Gruzji, notabene rodzinnego miasta biskupa Hudala. SS-Hauptsturmführer Rajakowitsch reprezentował podczas wojny wydział IV B-4 głównego urzędu gestapo w kwatery głównej SS-Brigade-führera, Wilhelma Harstera w Holandii. Wydział ten, którym kierował Adolf Eichmann, był organem wykonawczym akcji „ostatecznego rozwiązania” kwestii żydowskiej. Erich Rajakowitsch był więc osobieście odpowiedzialny za deportację ponad 100 tysięcy holenderskich Żydów do obozów masowej zagłady.

W 1945 roku przedostał się wraz z rodziną oraz kochankiem swej żony (również oficerem łącznikowym Eichmanna, odpowiedzialnym z kolei za masakrę tysięcy Żydów jugosłowiańskich) do Włoch, starannie zacierając za sobą ślady. Po pewnym czasie udało mu się dotrzeć do biskupa Hudala w Rzymie, który układowo jego rodzinę (wraz z owym amantem) w jednym z górskich klasztorów, a następnie wyprawił ich w dalszą drogę... do Argentyny.

ADAM CZERSKI

ZAGINIONY SKARB

Rajakowitsch przebywał tam, nie natykając na najmniejsze trudności ze strony władz, aż do 1955 roku, tj. do chwili upadku prezydenta Perona, protektora nazistów, po czym zaczął szukać azylu gdzieś indziej. Przybrałszy nazwisko Ericha Raja zdobył za dość słoną cenę paszport włoski i powrócił do Włoch osiedlając się początkowo w Triście, a później już na stałe w Mediolanie. Tam rzucił się w wir interesów, które realizował na taką skalę, iż w 1963 roku jego osobisty majątek był szacowany na sumę 4 milionów dolarów. Był właścicielem licznych apartamentów, willi, tak we Włoszech jak i w Szwajcarii, „domu marzeń” na szwajcarskim brzegu jeziora Lugano, a także 1500-hektarowego majątku ziemskiego w Meksyku.

Po aresztowaniu Rajakowitscha władze włoskie przeprowadziły także kontrolę jego interesów i uzyskanych dochodów i wówczas ujawniono rzecz niezwykle interesującą, a zarazem nieoczekiwaną. „Wydało się być całkowicie niemożliwe” — głosił raport władz prowadzących śledztwo — „aby oskarżony mógł zgromadzić tak wielki majątek jedynie drogą operacji handlowych, które ujawnił”. Autorzy raportu sugerowali — iż interesy prowadzone przez Rajakowitscha były raczej fikcją, i że „jego aresztowanie pozwoliłoby być może ujawnić tajne depozyty zaginionego skarbu SS”. Włosi jednak po zakończeniu śledztwa zwolnili Rajakowitscha z aresztu wydając go jednak poza granicę kraju.

Aby uniknąć odpowiedzialności przed austriackim wymiarem sprawiedliwości, Erich Raja schronił się najpierw w Szwajcarii, a potem w Niemczech Zachodnich. Szybko jednak został zmuszony do opuszczenia granic tak jednego jak i drugiego państwa. Nie pozostało mu więc nic innego, jak udać się do Wiednia i oddać w ręce władz austriackich. W czasie procesu, zarzadowo jego współpracę z Eichmannem jak i jego własny udział w „ostatecznym rozwiązaniu”, zostały w pełni potwierdzone przez głównych świadków oskarżenia, m.in. przez Arona Sijesa, badacza z holenderskiego Instytutu Dokumentacji Drugiej Wojny Światowej. Jednak wyrok, który zapadł, był skandalicznie niski — dwa i pół roku więzienia (!). Tak więc już w 1966 roku dr Rajakowitsch znów znalazł się na wolności.

Erich Rajakowitsch aresztowany został 17 kwietnia 1963 roku. Tego samego dnia pewna gazeta ukazująca się w Gruzji, a uchodząca za źródło dobre poinformowane, opublikowała artykuł, który wywołał spore zamieszanie w aferze Rajakowitscha, rzucając na nią całkiem nowe światło. Oto fragmenty owego artykułu:

„Po upadku Trzeciej Rzeszy, biskup Hudal odegrał zasadniczą rolę w organizowaniu przetrwania za granicę

czolowych nazistów, głównie do Argentyny. W ten sposób Hudal pomógł zniknąć Eichmannowi, zastępcy Hitlera Martinowi Bormannowi (...) i Rajakowitschowi. Doktor Rajakowitsch jest jednym z tych, którzy posiadają legalne pełnomocnictwa do dysponowania ogromnymi kapitałami złożonymi w bankach szwajcarskich na tajnych kontach byłych szefów nazistowskich Niemiec. Źródłem tych kapitałów były tzw. podatki emigracyjne Reichfluchtsteuer), których opłacenia wymagano od wszystkich Żydów opuszczających Niemcy i Austrię, były to więc sumy wypłacane z tytułu okupu na rzecz SS w zamian za wolność dla pewnej części Żydów”.

Tak oto najpierw Włosi, a później Austriacy przyczynili się pośrednio do wydobycia na światło dzienne jednej z największych tajemnic okresu powojennego — zagadki zaginięcia ogromnego skarbu, jaki RSHA (Główny Urząd Bezpieczeństwa Rzeszy) zdeponował w Reichsbanku. Wiele osób sądziło, żeś się nieustannie, iż informację na temat istnienia „skarbu SS” są po prostu zmyślane. Skarb SS istniał bowiem naprawdę. I skarb ten zaginął.

Zdobyci uzyskana od ofiar, przede wszystkim Żydów, reprezentowała sobą niebagatelną sumę kilkuset milionów marek. Wszystkie te pieniądze były przekazywane do SS-Wirtschaft und Verwaltungshauptamt (Głównego Urzędu Administracyjno-Gospodarczego SS), którym kierował SS-Obergruppenführer Oswald Pohl, były komisarz marynarki wojennej, a wówczas „wielki regent” ekonomiczny RSHA. O rozmianach uzyskiwanych przez SS „zdobywczy” najlepiej świadczą dane przytoczone przez Pöhlę na jego procesie. Wynika z nich, iż „przesyłki”, jakie nadeszły do WVHA w okresie wojny tylko z dwóch obozów: Oświęcimia i Majdanka — przedstawiały wartość 235,2 mln marek.

A oto, jak opisywał owe akcje „zbiórki złota” komendant obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu, SS-Obersturmbannführer Rudolf Hoess: „Po kilku (pierwszych) transportach Eichmann przekazał nam instrukcje Reichsführera SS Himmlera, zgodnie z którymi byliśmy obowiązani pilnować, aby trupem wyrwanemu złote zęby i ościenną długie włosy kobiet kierowanej komór gazowych (...)”. Następnie złoto z zębów przepłane było w

jasny nie przedstawił, zabronił wszelkich eksperymentów penetrowania jeziora, oświadczając jedynie, iż prowadzenie oficjalnych poszukiwań „nie leżałoby w interesie publicznym” (!).

Włosi, Niemcy i Austriacy podejrzewali dra Rajakowitscha o to, iż sprawuje on „opiekę” nad częścią zaginionego skarbu. Przypuszczano, iż posiadał się nim częściowo dofinansowania własnych interesów handlowych i jednocześnie zainwestował inną jego część w majątki ziemskie, które zakupił wprawdzie na swoje nazwisko, ale dla pewnej tajnej organizacji grupującej byłych nazistów. I znów wylania się pytanie, co działo się z resztą tego tak przecież ogromnego, skarbu i gdzie się znajdował? Ale czyż dr Rajakowitsch nie był protegowanym biskupa Hudala, który na dodatek doskonale znał i utrzymywał ścisłe kontakty z jego testem, doktorem Rintelenem? A przecież dr Anton Rintelen był gubernatorem Styrii i ambasadorem Austrii we Włoszech, zatem osobistością niezwykle wpływową. Miał nawet przezwisko „król Antoni” ze względu na swoją pierwszoplanową rolę, jaką odgrywał w reakcyjnych kolach politycznych Austrii.

Toteż władze wspomnianych krajów miały prawo przypuszczać, że kapitały, przy pomocy których na tak szeroką skalę finansowano akcję „pomocy dla uchodźców”, pochodziły z zaginionego skarbu. Jak pamiętamy, opublikowany na początku 1963 roku przez piewnika dziennik z Gruzji obszerny i starannie opracowany artykuł na temat skarbu SS, wymieniał wyraźnie nazwisko biskupa Hudala jako osoby ściśle związanej z tą sprawą. Tekst artykułu za inspirował jednego z czytelników, który, jak się okazało, prowadził dochodzenie, dotyczące tej afery — do napisania listu do redakcji, w którym m.in. czytamy:

„Podejrzenia, jakie żywiono od dawna, że władze po raz pierwszy sformułowały publicznie. Ogromne milionowe kapitały, gromadzone w tak zbrodniczy sposób, zaginęły bez śladu. I oto owa wynosząca miliony dolarów fortuna, którą okrywała ścisła tajemnica, znalazła się w posiadaniu byłych przywódców partii hitlerowskiej i SS. A teraz okazało się także, iż tuteż ogromne sumy, również splamione krwią ofiar wojny, były wykorzystywane do finansowania tajemniczej misji „ratowania uchodźców”, której patronowała tak wysoko postawiona osobistość watykańska.

Gdzie jest ów krwawy skarb SS? O ile biskup Hudal nie zechce udzielić wyjaśnień co do źródła pochodzenia funduszy, którymi rozporządzał kierując akcją pomocy dla „uchodźców z Rzeszy”, nie będzie możliwe położenie kresu podejrzeniom, że skarb SS lub przynajmniej jego istotna część, trafiła do jego rąk i że wykorzystywał ją w celu ułatwienia ucieczek nazistowskim przestępcom oraz — udzielenia im pomocy finansowej”.

Niestety, przesłuchanie biskupa Hudala odnośnie stosunków, jakie łączyły go z doktorem Rajakowitschem, okazało się niemożliwe. Kiedy afera stała się głośna, tj. 18 kwietnia 1963 roku, biskup znajdował się w szpitalu, dotknięty nieuleczalną chorobą — rakiem. Umarł zresztą w niespełna miesiąc później. W ten sposób zabrał również do swego rzymskiego grobowca tajemnicę zaginionego skarbu.

Badania, jakie odnośnie tej sprawy przeprowadził Ladislas Farago w Rzymie, Wiedniu i Gruzji, pozwoliły ustalić, iż wbrew temu, jak powszechnie sądzono, Hudal dysponował na cel swojej akcji bardzo skromnym budżetem. Kłazy i instytucje katolickie, w których szukał schronienia uchodźcy z różnych krajów Europy, gościli ich darmo. Niewielkie były również koszty wystawiania nowych dokumentów. Jedynie „przerzuty” na drugą stronę Atlantyku wymagały poważnych funduszy, które pochodziły właśnie z owych zagadkowych „kapitałów” biskupa, być może właśnie z zaginionego skarbu SS.

Większość spośród uciekinierów przybywających do Rzymu była dobrze zaopatrzona finansowo. Heinrich Müller np. znalazł się w Wiecznym Mieście z kuferkiem pełnym dolarów amerykańskich. Pozwoliło mu to swobodnie poruszać się po Europie i wygodnie egzystować bez pomocy finansowej biskupa mógł też sam opłacić swą podróż do Ameryki Południowej. Inni, jak Erich Raja, również posiadali pieniądze na „przerzut”. Na podstawie dokumentów znalezionych w Limie, w 1972 roku, ustalono w sposób niemal pewny, że wszystkie fundusze, którymi obcacił biskup, pochodziły od tajemniczego dobroczyńcy ze Szwajcarii. W rzeczywistości chodziło o finansistę nazwiskiem Friedrich („Freddy”) Messer, który swego czasu był wspólnikiem Friedricha Schwenda w operacji „Bernhard” (akcji fałszowania zachodnich walut). Uzyskane tą drogą pieniądze Schwend deponował w szwajcarskich bankach, wymieniając za razem fałszywe banknoty na twarde waluty.

Co się zaś tyczy tajemniczego skarbu SS, który bez śladu zaginął, to pewne poszlaki wskazują na to, iż prawdopodobnie dysponowali nim Bormann i Müller po przedostaniu się na kontynent południowoamerykański. Niemniej brak jest przekonujących dowodów iż to był właśnie ten skarb. Czy owa zagadka się wyjaśni i kiedy — pokaże przyszłość.

magazyn

U schyłku XIX stulecia Łódź była już dużym i prężnym ośrodkiem przemysłowym liczącym ponad 300 tys. mieszkańców. W tym wielonarodowym mieście, zasiedlonym przez Polaków, Żydów i Niemców, z przewagą elementu polskiego, działalność kulturalna, zwłaszcza w porównaniu z bujnie kwitnącym życiem gospodarczym, wyglądała bardzo ubogo.

Niedoroczny w dziedzinie kultury szczególnie uwidaczniał się w kręgach społeczeństwa polskiego, a przede wszystkim w jego najliczniejszej warstwie — wśród robotników. Zaabsorbowani uciążliwą walką o byt, nie wykazywali oni prawie żadnych zainteresowań sprawami kultury.

Słaba aktywność kulturalna przejawiała również polskie środowisko inteligencji. Stosunkowo nieliczne, w znacznej mierze uzależnione materialnie od mieszczywskich przemysłowców, stanowiło ono warstwę płynną, nie nastawioną na trwałe związanie z Łodzią.

Drzemka intelektualna, w jakiej pogrążyła się większość inteligencji miejscowej, przerwana została dopiero w połowie lat dziewięćdziesiątych, kiedy to gromadziło się w Łodzi coraz więcej młodych ludzi, którzy zaczęli się skupiać wokół teatru, w którym podówczas w Łodzi polskiej placówce kulturalnej. Teatr spiełniał wtedy szczególną rolę, zwłaszcza w okresie, kiedy miasto pozostawało było polskiej prasy. „Teatr w Łodzi — to jedyna godziwa rozrywka, jedyny punkt oparcia dla wychowania spracowanego umysłu — stwierdzał jeden z miejscowych publicystów. — Nie mamy ani muzeum, ani galerii obrazów, ani resurs, ani klubów, pozostałe tylko jeden teatr, który wszelkie braki ma zastąpić. Gmach teatralny służy za punkt zborny, w którym następuje wymiana myśli. Jest dalej, a przynajmniej być powinien szkołą języka”.

W 1895 roku kierownictwo teatru polskiego w Łodzi objął urodzony w Łodzi aktor i komediopisarz, współpracownik pisma warszawskiego, Michał Wołowski. Starannie wykształcony, obyty w rozmaitych dziedzinach kultury i sztuki, obeznany dobrze z teatrem, stał się przedmiotem dumy łódzkich teatromanów, którzy stwierdzali: „Nareszcie scena nasza kieruje ktoś reprezentatywny”. Wołowski położył duże zasługi dla rozwoju sceny łódzkiej. Wyposażył budynek teatru „Victoria” (dziś kino „Polonia”) w nowe urządzenia techniczne, zmienił oświetlenie sceny i widowni. Zgromadził też doskonały zespół aktorów, którego mogła

mu pozazdrościć nawet Warszawa. W teatrze Wołowskiego grali znakomici i doświadczeni aktorzy, jak Marceli Trapsza, Marian Winkler, Wincenty Rapacki (syn), Karol Kopczewski, Michał Tasiewicz, Józef Mielnicki, Helena Zimajer, a z młodszych Maria Przybyłko i Antoni Fertner. Wołowski dbał również o dobór ambitnego repertuaru. Okres jego dyrekcji (1895–1900) zaznaczył się wybitnymi osiągnięciami w skali krajowej.

Teatr „Victoria” gromadził w swych murach elitę polskiego społeczeństwa. Po spektaklu ludzie intelektualiści spotykali się zwykle w pobliskiej kawiarni Aleksandra Roszkowskiego lub w sali restauracyjnej hotelu „Victoria”.

WACŁAW PAWLAK

WŚRÓD TWÓRCÓW KULTURY PRZEDWCZORAJSEJ ŁÓDZI

„Kurier Warszawski” reprezentował na łódzkim terenie. Kazimierz Kamiński. Także inne pisma warszawskie, jak „Głos” i „Więć”, posiadały w Łodzi własnych korespondentów. Z prasą warszawską współpracowali łódzcy publicyści: Karol i Melania Łaganowscy, Artur Głiszczyński i inni.

Gazety warszawskie nie mogły jednak zastąpić miejscowego pisma polskiego, toteż gromadziło się wokół niego środowisko osób związanych z łódzką kulturą. „Dziennikiem Łódzkim” czyniło starania, aby założyć w Łodzi nowe pismo polskie. Zabiegi te rozbiły się o sprzeciw władz carskich. Tak było do grudnia 1897 roku, kiedy to na gruncie łódzkiej ukazało się „Rozwój”. Założycielem „Rozwoju” był warszawski literat i historyk Wiktor Czajewski. Z namowy swego przyjaciela, Michała Wołowskiego, przybył do Łodzi z koncepcją na wydawanie pisma. Czajewski zgromadził wokół „Rozwoju” spory zastęp publicystów warszawskich i łódzkich. Sekretariat redakcji objął doświadczony dziennikarz Wiktor Ratyński. Sprawozdawcą teatralnym i felietonistą był Stanisław Łapiński, który przetrwał się do „Rozwoju” z piórkowskiego „Tygodnika”. Recenzje muzyczne pisał dla gazety kompozytor Alojzy Dworaczek. Tadeusz Jotejko — w skład redakcji wchodził także reporterzy: Kazimierz Młodowski, Jan Błęszyński i Eugeniusz Wiatrowski.

W lutym 1898 roku ukazało się w Łodzi drugie polskie pismo codzienne „Goniec Łódzki”. Wyda-

wcą konkurencyjnej gazety został hr. Henryk Lubiński. Na redaktora naczelnego „Gonia” powołał on znanego dziennikarza warszawskiego Antoniego Mieszkowskiego. Z pismem Lubińskiego współpracowali korespondenci prasy warszawskiej Władysław Rowiński, Karol Łaganowski i Artur Głiszczyński. Do zespołu redakcyjnego należeli także Jan Luba (recenzje teatralne) i Wiktor Karliński. Redakcja „Gonia” wspierała swymi piórami miejscowych publicystów, którzy walczyli o rozwój życia kulturalnego w Łodzi. Włodzimierz Wyganowski, Leon Gajewicz i Aleksander Mogilnicki, interesujące felietony zamieszczał w gazecie Zygmunt Bartkiewicz. Oba pisma ostro z sobą rywalizowały. Wdawały się one często w polemiki, które wywoływały ożywiony ferment w nieruchawym dotąd środowisku inteligentnym. Wzrastало w nim zainteresowanie niezwykle złożonymi problemami fabrycznego miasta, a zwłaszcza zagadnieniami rozwoju życia kulturalnego jego mieszkańców.

Obu gazetom przypadła także zasługa powiększenia się w Łodzi grona osób piszących, a do tego rozbudzenia u niektórych z nich zainteresowań literackich. Wykazywało je sporo dziennikarzy skupionych wokół „Rozwoju” i „Gonia”, zwłaszcza zaś Władysław Rowiński, Artur Głiszczyński i Stanisław Łapiński.

Żywa działalność kulturalna w Łodzi na przełomie XIX i XX wieku, rozwijająca się głównie w oparciu o teatr, prasę i towarzysztwa śpiewacze, w latach późniejszych uległa pewnemu osłabieniu. Przyczyną tego zjawiska dopatrywać się można w wydarzeniach spowodowanych wojną rosyjsko-japońską i rewolucją 1905 roku. Nie bez znaczenia było tu także odejście z Łodzi wielu wybitnych jednostek, które miały pokazywać wpływ na rozwój kultury w mieście. W 1900 roku i nieco później wyemigrowali z Łodzi ludzie pióra tej miary, co Głiszczyński, Bartkiewicz, Łaganowski, Rowiński. W tym czasie scenę łódzką opuścili: Wołowski, Trapsza, Rapacki, Winkler, Fertner. Z plejady twórców życia kulturalnego na terenie Łodzi niewiele pozostało wiarygodnych imion. Wśród nich wymienić trzeba Czajewskiego, Łapińskiego i Gajewicza. Znaczący odpych z Łodzi czołowych przedstawicieli kultury polskiej na tym terenie był jedną z przyczyn, opóźniających proces polszczenia się „ziemi obiecanej”.

Nie jest przypadkiem, że właśnie w Tarnowskich Górach powstało muzeum parowozów. Tarnowskie Góry, stolica kruszcownego górnictwa, jeszcze w ubiegłym wieku stały się dużym centrum kolejarskim. Dziś w 35-tysięcznym mieście co trzeci mieszkaniec to kolejarz. Wzrost łódzkiego przemysłu przyczynił się do rozwoju górnictwa. Wyprowadzając pod tym względem nowoczesne, całkowicie zautomatyzowane węzły, którymi szczytują się Montreal czy Tokio. Pracuje tu blisko 6 tysięcy kolejarzy.

Mgr inż. Franciszek Bugdoł, kolejarz z działa prądziad, dziś naczelnik Zarządu Kolei Dojazdowych w Bytomiu i I wiceprezes Stowarzyszenia Miłośników Ziemi Tarnogórskiej zwiędził już bodaj wzdłuż i wszerz całą Polskę, wynajdując zmęczoną służbą maszyny parowe, stare salongi i kołby odstawione już przeważnie na boczny tor, zapomniane.

Spółeczną budowę muzeum popierała władze miasta i województwa. Zapadła dawnych kamieniołomów pokrywa zielony trawnik, ten wieloletni teren pokrojony lasami w słońcu szynami, to właśnie muzeum pod chmurką. Jak okiem sięgnąć — rzędy różnorodnych parowozów, wszystkie odwiezione, wszystkie mają tabliczki z rodowodem. Obok parowozów inne pojazdy o napędzie parowym, lokomobile itd.

Największym, zainteresowaniem cieszą się parowozy i wagon. Wchodzimy do wagonu pamięta-

jącego dawne czasy międzywojenne. W wagonie pełno rozwieszonych rysunków związanych z budową parowozów i wagonów. Kilkanaście metrów dalej na tym samym torze parowóz „O-ka 1”. Z jego metryki wynika, że pojawił się na torach w 1901 roku, a niektóre jego części noszą datę 1892 r. Odszukano go w Łazach. Obok złoty medalista, parowóz nagrodzony w Lipsku w 1936 roku.

Kilkanaście metrów dalej króluje dzieło „Fabiola”. Każde z nich waży ponad 180 ton, a ich szybkość sięga z łatwością 100 km/godz. Jest tam więc jeden z pierwszych parowozów pociągów PT-47. Największy i ostatni z wielkich parowozów trakcji ogólnej słynny „Ty-51”, i wiele innych, które powstały dzięki polskim inżynierom i robotnikom, dzięki polskiej myśli technicznej. Po przejechaniu milionów kilometrów znalazły tu zasłużony odpoczynek. Znajdą je poza granicami kraju wszystkie kontynenty Europy, Afryki i Azji.

Jeżdżący polskie parowozy w Chinach, Związku Radzieckim. Jest też tam „królewski” parowóz zbudowany w 1930 r. dla Bułgarii. Prowadził go ówczesny monarcha tego kraju, król Borys. Z kolei radziwiłłowskiej przewoźnicy Tarnowskich Gór siedem wagonów, którymi „po kosmetyce” już w przyszłym roku będzie można przejechać się do szczytu wodociągów im. Stanisława Staszica. Będzie to wagon z własnym napędem wyprodukowany w 1931 roku u Cegielskiego. Do osobliwości techniki na-

leży pompa Worthintona z 1825 r., nadal sprawna i — jak twierdzą fachowcy, w niczym nie ustępująca dzisiejszym pompom spaliny i elektrycznym. Szczególnie ciekawy jest wagon-cysterna z 1827 roku posiadający drewniane zderzaki i całą konstrukcję z drewna.

Zainteresowanie zwiedzających wzbudził parowóz bezpaleniskowy z 1890–1893 r., scągnięty z zakładów wrocławskich, oraz wałec parowy z XIX wieku. Godny obojętności jest kocioł pociągowy z 1907 roku, sprowadzony z Zakładów Gazowniczych z Sanoka.

Do nowej roli szykuje się drewniany kołowrót z szyn „Zmija”. Trwają prace nad rekonstrukcją pierwszej maszyny parowej z 1788 roku, która — jak mówi inż. Franciszek Bugdoł — natchnęła tarnogórskich miłośników sztuki i kultury do założenia w swoim mieście muzeum.

Niebywałą atrakcją będzie spacer z szybkością 20 km/godz. luksusową saloną wyłożoną tapetą i autentycznym „salonowym” dywanem. Obok salongi będzie kursować wąskotorówka, której trasa będzie wynosić 20 km i połączy Bytom z atrakcyjnym zalewem Chechło.

Wzrost tarnogórskiej PKP sam posiada skansenowe budowie. Należy do nich pierwsza parowozownia z 1858 roku, dziś zamieniona na stajnię. Jest tu także parowozownia wachlarzowa z lat 1871–1878.

Pierwsze najrozszybsze parowozy i „ciuchcie” zjechały na spotkanie w mieście gwarków. Stojąc na tzw. „bocznym torze” będą wielką atrakcją dla turystów, którzy licznie odwiedzają zabytkowe miasto sztolni i królewskich czarnych pstrągów, miasto, w którym w drodze na Wiedeń popijał wino u imię pana Sedlaczka sam król Jan Sobieski, a później monarchowie poezji z Julianem Ursynem Niemcewiczem na czele.

POWIEKSZENIA

OGŁOSZONKO

Jak wiadomo gazety za treść ogłoszeń nie biorą odpowiedzialności, ale... W „Dzienniku Popularnym” znalazł się taki anons: „Poszukuję korepetytora, pracownika AM, który przygotowałby do egzaminu wstępnego na AM”.

Intencje są tu chyba dość przejrzyste. Maluczek, a przeczytamy anons: „Młoda, atrakcyjna pozna prezesa Spółdzielni Mieszkaniowej. Cel towarzyski”.

KSIEŻYCOWE „KONSYLIMUM”

Oprócz „Dobranocki” mamy „Bajkę dla dorosłych”, a ostatnio program „Konsylium”. Słowo to oznacza naradę lekarzy w celu rozpoznania choroby i określenia metod jej leczenia. Tak więc w telewizyjnym „Konsylium” biorą udział głównie lekarze. Zapewne znakomici fachowcy w swojej dziedzinie.

Ostatnio jednak zechcieli nas uraczyć dobrymi radami o takim stopniu nierealności, że aż przykro było słuchać. Tak więc rodzice powinni rano uprawiać gimnastykę razem z dziećmi. Wyjeżdżać nad morze powinno się z dziećmi na całe wakacje. Wakacje dzieci powinny spędzać z rodzicami. Jeśli dziecko ma poprawkę, to nie powinno się uczyć w czasie wakacji...

Chyba lepiej będzie, jeśli lekarze zajmą się leczeniem chorób, a nie księżycowym poradnictwem, do którego nikt nie jest w stanie się zastosować.

PRZEKwalifikowana?

Lucyna Winnicka (aktorka, m. in. „Matka Joanna od Aniołów”) coś jakby się przekwalifikowała. Nie widać jej na ekranach i wrasta już pokolenie, które nie pamięta kto zacytował Winnicką.

„Przekrój” drukował jej reportaże z podróży do Japonii, ale to jeszcze nie zapowiadało zmiany zawodu. Ostatnio natomiast „Polityka” opublikowała wywiad Winnickiej z księdzem prof. dr Włodzimierzem Sedlakiem. Polski uczony jest twórcą teorii ewolucji biochemicznej krzemu.

Nawiasem mówiąc prof. Sedlak opublikował swoje prace o bioelektronice w roku 1967, czyli jeszcze przed prof. Szent-Györgym — laureatem Nagrody Nobla. Lucyna Winnicka rozmawia z profesorem tak, jakby całe życie zajmowała się bioplazmą i działaniem fal elektromagnetycznych na piezoelektryki.

PANCERNA ŚPIEWOGRA

„Cztery pancerni i pies” to bardzo sympatyczna książka. Film nakręcony na podstawie tej książki również oglądaliśmy z zaciekawieniem.

Ale Janusz Przymanowski poszedł „na całość” — zrobił z książki i filmu śpiewogę pt. „Ballada o czterech pancernych”. Bardzo dobrze, że telewizja nadała to w niedzielę. Mogliśmy się przekonać, że zażenowanie recenzentów było uzasadnione.

MUZEUM PAROWOZÓW W TARNOWSKICH GÓRACH

leży pompa Worthintona z 1825 r., nadal sprawna i — jak twierdzą fachowcy, w niczym nie ustępująca dzisiejszym pompom spaliny i elektrycznym. Szczególnie ciekawy jest wagon-cysterna z 1827 roku posiadający drewniane zderzaki i całą konstrukcję z drewna.

Zainteresowanie zwiedzających wzbudził parowóz bezpaleniskowy z 1890–1893 r., scągnięty z zakładów wrocławskich, oraz wałec parowy z XIX wieku. Godny obojętności jest kocioł pociągowy z 1907 roku, sprowadzony z Zakładów Gazowniczych z Sanoka.

Do nowej roli szykuje się drewniany kołowrót z szyn „Zmija”. Trwają prace nad rekonstrukcją pierwszej maszyny parowej z 1788 roku, która — jak mówi inż. Franciszek Bugdoł — natchnęła tarnogórskich miłośników sztuki i kultury do założenia w swoim mieście muzeum.

Niebywałą atrakcją będzie spacer z szybkością 20 km/godz. luksusową saloną wyłożoną tapetą i autentycznym „salonowym” dywanem. Obok salongi będzie kursować wąskotorówka, której trasa będzie wynosić 20 km i połączy Bytom z atrakcyjnym zalewem Chechło.

Wzrost tarnogórskiej PKP sam posiada skansenowe budowie. Należy do nich pierwsza parowozownia z 1858 roku, dziś zamieniona na stajnię. Jest tu także parowozownia wachlarzowa z lat 1871–1878.

Pierwsze najrozszybsze parowozy i „ciuchcie” zjechały na spotkanie w mieście gwarków. Stojąc na tzw. „bocznym torze” będą wielką atrakcją dla turystów, którzy licznie odwiedzają zabytkowe miasto sztolni i królewskich czarnych pstrągów, miasto, w którym w drodze na Wiedeń popijał wino u imię pana Sedlaczka sam król Jan Sobieski, a później monarchowie poezji z Julianem Ursynem Niemcewiczem na czele.

ZDZISŁAW OKUNIEWSKI



KRYSTALY — KRYSTALY

POLECAMY

w sklepach:

ŁÓDŹ, UL. WOJSKA POLSKIEGO 68
PIOTRKOWSKA 72
HUTORA 53/57

ZGIERZ, UL. REWOLUCJI 1905 R. NR 82

— ZAPRASZAMY I ŻYCZYMY UDANYCH ZAKUPÓW —



2488.k